



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Krolestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 8.0
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. 5 marek

Karolina z Iwanowskich Ks. Wittgensteinowa.

Dnia 9 Marca b. r., umarła w Rzymie kobieta europejskiej sławy, nazywana geniuszem niewieścim przez sędziów bardzo poważnych: Karolina z Iwanowskich, księżna Wittgensteinowa, o której Cezar Cantu napisał w swojej historii literatury, że jest to najuczepsza kobieta i najgłębsza myślicielka XIX wieku. Kreślący historię jej życia dopisać musi, że była to kobieta ciężko nieszczęśliwa, której spacone istnienie przedstawia smutny dramat jakich było u nas niewiele, z grą wielkich światła i wielkich cieni.

Ojciec jej, Piotr Iwanowski, wielomilionowy magnat podolski, pochodził ze szlachty ruskiej; matka, była synowicą smutnej pamięci prymasa Podolskiego. Córka jedynaczka tych rodziców, urodzona 1819 roku w domu macierzystego swego dziada na Rusi Czerwonej, we wsi Monasterzyskach, chowała się pod opieką babki do lat sześciu. Matka jej była, jak nazywano wówczas, sawantką, podróżowała, przebywała czas jakiś w Paryżu, zostawała potem w korespondencyi z uczonymi i artystami, a domyślać się można, że była exaltowaną, że chciała być excytryczną i różniącą się od innych, bo przesypiała dnie, a noce czyniła dniami. Ojciec przedewszystkiem gospodarował bardzo pilnie na obszernych swych dobrach, a choć też był człowiekiem wykształconym, choć miał wielkie zamiłowanie do czytania i nawet gromadził w dziedzicznej swej rezydencyi Woronińcach bibliotekę znaczną na owe czasy, w domu więcej siedział i majątek, już wielki, pomnażał. Bogaty szlachcic stawał się wśród społeczeństwa naszego odrazu panem; wchodził

w koło arystokracji, a że Iwanowscy majątkiem do tej miary dorobili, że potrzeba im było tylko przez związki małżeńskie z domami starych senatorskich rodów się skolligacić, aby na czoło narodu się wydostać, więc ojciec myślał troskliwie o powiększaniu fortuny córki, któraby usłała jej drogę do tego. Czy ambicya ojcowska dała córce tej szczęście?... życie odpowiedziało...

Sześciolletnią jedynaczkę dziadkom odebrawszy, starano się dać jej wychowanie jaknajświetniejsze. Matka szczególniej pragnęła dla niej nauki jaknajwyższej, a że środki były potemu, że umysł dziewczynki już odrazu wielką bystrość pojmowania okazywał i cheiwie polykał, co mu podawano—więc zamiarom rodzicielskim stawało się zadość, a nadzieje podnosiły się jeszcze. W 1827 r. przywieziono Karolinę do Warszawy, potem wywieziono zagranicę, gdzie miała za nauczycieli najpierwszych już uczonych ówczesnych. W Paryżu najpierw, potem w Niemczech, we Włoszech odbywała się ta edukacya, która stała się zupełnie mężką, może wskutek już objawiających się pragnień i kierunków umysłu uczennicy. Łaciny i greczyzny uczyła się od pierwszych łacinników i hellenistów europejskich, słuchała wykładów filozofii na uniwersytetach niemieckich od najgłośniejszych jej mistrzów.

Piętnastoletnia, to jest w tej chwili właśnie, gdy pęk duszy dziewczęcej miał się w kielich kwiatu otworzyć, spotkała się z wpływem innym, a zapewne nie bez znaczenia. Zjechała się we Włoszech z Zygmuntem Krasińskim, a te dwie dusze nie mogły minąć się obojętnie. Ona już była umysłem wybujała i wyżej jeszcze lecieć chcąca. A dodać trzeba, że miała przy smągłej, bladej twarzy wielkie, czarne, pełne ognia, pełne płomieni oczy — oczy Rusinek, przenikające, głębokie, stworzone do tego, aby patrzyły w stęp, więc w dal—w dal, jak tęsknota lecieć jest zdolna. W niej rozbudzoną już była wtedy tęsknota wiedzy; spotkanie z poetą musiało po-

trać w duszy jej struny inne. Włoski korespondent „Gazety Warszawskiej“, pisze w pośmiertnem o niej wspomnieniu, że Zygmunt przepisywał dla niej wiersze Byrona, że padł mu na serce czar cudownego dziecka. Nie stała się z tego miłość: taka wierna, tkliwa, któraby zniósła oddalenie, przetrwała próby czasu, jak dla Delfiny Potockiej, ale, że strony Krasińskiego przynajmniej, zajęcie było silne. Przysłał jej potem najpierwszy egzemplarz *Przedświtu*, więc po rozstaniu się została w nich jeszcze pamięć o sobie.

Potem wszystkim: po wchłonięciu sobie w duszę tyle wiedzy, poezyi, po obcowaniu z najpierwszemi umysłami, najwyższymi ludźmi swego czasu, cóż ją spotyka po powrocie do domu? Na Podolu w dobrach Kamionka mieszkał Niemiec protestant, niebogaty, nieurodny, umysłem nieskończenie od niej niższy, syn feldmarszałka rosyjskiego, Mikołaj Sayn-Wittgenstein i mitra jego, jego dostojność medyatyzowanego księcia, budzi próżność zubożonego szlachcica tak dalece, że swoją siedemnastoletnią, jedyną córkę zmusza iść za niego. Ona nietylko, że nie kocha go, ale niecierpi, nienawidzi, przez swoją wyższość umysłową, przez swoją hardość wysokiego ducha; gardzi nim nawet, przecież wiąza im ręce na życie wspólne aż do śmierci! Małżeństwo to, zawarte d. 14 Kwietnia 1836 r., to najokrutniejszy gwałt, jaki kiedykolwiek popełniono nad duszą kobiety, a ród tych Niemców zdaje się przeznaczony na to, aby mu, jak Minotaurowi, oddawano na pożarcie dziewice nasze, bo starszy brat księcia Mikołaja, to ten mąż poniewolnie też wydanej za niego ks. Stefanii Radziwiłłówny, o której zdaje się losach smutnych, napisał Krasiński rozdzierający poemat: „Noc letnia“. Tam też ofiara była podobnie młoda, a wtedy władza rodzicielska silniej dzierżyła rząd i rozporządzała bezwzględniej dziećmi. Księżna Stefania nie miała przecież w sobie tej

siły gniewnego odporu, słabsza, cichszego ducha biedaczka; Iwanowska, silniejsza i gwałtowniejszego temperamentu, nie—zawsze pozostała tą, którą można było wziąć, jak w pętle arkanu i prowadzić na nim, gdzie chciano—nie zawsze miała lat siedmnaście! Z każdym rokiem rosła w niej siła charakteru, aż nad miarę może butnego i niedającego rządzić sobą. Na całą Ukrainę zasłynęła rozumem, wiedzą, niepodległością względem małżonka, którego onieśmielała i odsunęła od siebie, postawiła na planie drugim, jak kogoś, z którym nie ma nic wspólnego—prócz tego niestety! że powinna była należeć do niego aż do śmierci...

Nie należała jednak. Rozwód moralny między tem dwojgiem prędko został wzięty; jedyne swe dziecko, córeczkę Maryę, księżna Karolina chowała bardzo starannie, uczyła ją sama, lecz przytem przyjmowała dużo ludzi, pisała, na nieszczęście pofrancuzku, bo był to język, do którego nietylko przywykła przez wieloletni pobyt zagranicą, ale w którym głównie brała tam wykształcenie, więc myśleć się uczyła. Pierwszą jej pracą piśmienną była, pofrancuzku też skreślona, charakterystyka kobiet biblijnych. I tak szło do 1846 roku, aż nieszczęście zapukało do drzwi jej domu. Liszt, sławny już w całym artystycznym świecie, przyjaciel Szopena, przyjaciel naszych poetów za granicą, budzący też zapal, jakiego w naszej epoce, wstrząsanej innemi wzruszeniami, przenikanej innemi prądami, już odczuwać nie umiemy, przybył w okolice księżny Karoliny. W Kijowie się poznali i zaproszony przez księżnę do Woronińców, przepędził tam więcej niż tydzień, a przyjmowany był w tej wspaniałej, magnackiej, iście królewskiej rezydencji, z bajeczną gościnnością. Sproszono tłumy ludzi, pałac, ogrody, park cały, lasy okoliczne illuminowano, a wśród czarownego zbytku i rozrzutności, spełniał się i w duszy kobiety czar nieznanych dotąd wrażeń. Pokochała całą swoją namiętą naturą Rusinki, ta mężatka bez męża, a gorzej jeszcze: żona męża nienawidzonego i nie przez to tylko, że ich istoty duchowe nie zgadzały się ze sobą, że sobie nie odpowiadały, że jedna nie dorosła do drugiej. Uczucie sakramentalnego węzła miałyby przecież i wtedy swoje wielkie znaczenie, miałyby jakąś moc swoją, co przy takiej sile charakteru, jaki okazywała ta kobieta, mogłoby było zdusić rodzące się uczucie i nie dopuścić, aby się stało namiętnością. Ale przypuszczać trzeba, a nawet uważać to można za pewność, że związek swój uważała za bezprawny, za grzeszny—za łańcuch, który ją skubał ze wstydem: więc też, gdy przyszło jeszcze podniecenie miłości, targnęła nim, szalona, bez wyrzutów sumienia, bez uczucia winy!

Wina była przecież, bo pragnienie przepadłego już dla niej, zakazanego szczęścia, zagłuszyło w kobiecie pamięć na te prawa moralne, które się nigdy nie targają bez wstydu na jej czole—była wina, bo było zgorzenie: trujące ziarno złego przykładu, rzucone w obyczaj! Namiętność zwyciężyła godność szlachetnej istoty ludzkiej—godność znoszenia dostojnie losu, na który się raz przystało, a nikt wyłamujący się zpod tych praw etycznych, którym ulegać powinien, nie wie, gdzie zająć może i jaki szereg następstw powlecze się za pierwszym krokiem, na tej drodze postawionym.

Nie wiedziała i ona. Wyjazd jej z domu był zrazu tylko wyjazdem do Odessy na koncert, przez Liszta tam dawany, co dla kobiety w jej położeniu, ani szczególnie, ani nagannem się nie zdawało, ale trzeba prędko odsuwać od ust czarę, z której pić nie wolno, bo upojenie odbiera potem moc panowania nad sobą. I tu tak się stało. Z Odessy jechała do Warszawy, z Warszawy do Krakowa, aż w końcu znalazła się w Rzymie, gdzie nieszczęśliwa, spaliwszy już most, który przeszłość łączył z przyszłością, padła do nóg Papieża, błagając ze łzami o rozwód. Działo się to na wschodach Watykanu. Pius IX, natura słodka i łagodna, życzliwy nam zawsze, zawsze nas błogosławiający, ofuknął ją jednak bardzo surowo.—Polskę zgubiły rozwody... rzekł, a znaczyło to, że Polskę zgubiło rozprządanie moralne, moralne rozluźnienie obyczajów,

ale ona nie miała już zmysłu na pojęcie tej prawdy. Położenie jej było okrutne i chciała z niego wyjść, rehabilitować się w jedynie możliwy sposób, i pozostała w Rzymie, choć spotkało ją tu drugie jeszcze, a ciężkie upokorzenie. Stryjeczna jej siostra, sławna z idealnej piękności, wdzięku i uczuciowości szlachetnej, Dyoniza z Iwanowskich Poniatowska, przebywająca wtedy z mężem w Rzymie, wyjechała natychmiast po jej przyjeździe—aby się z nią nie spotkać!

Ona tem uparciej sprawę swą popiera. Uczy się prawa kanonicznego, stawia przed konsystorzem papieżkim, jako adwokat swej sprawy, a choć przymus moralny, wywierany przez rodziców na małoletnią, nie wystarczał jeszcze do zerwania zaprzysiężonego związku, jej rozpaczliwe usiłowania, jej potężna wymowa sprawiają wreszcie to, że kongregacja papieżka wyrzeka w końcu rozwód, a ona we wszystkie, co dotyczyło tej sprawy, namiętna i gwałtowna, telegrafem daje znać o tem Lisztowi, uzyskuje dyspensę od zapowiedzi jego z nią ślubu i już zdaje się być u celu—pałaca tunika Nessusowa już zdaje się w niej opadać, gdy nagle uderza cios, spadający w wigilią tego dnia, którego wczesnym rankiem ślub ów miał się odbyć cicho, Papież rozwód cofnął!

Sprawiła to rodzina Iwanowskich, która nie chciała związku tego dopuścić. Podano w powątpiewanie zeznania Iwanowskiej...

W tej chwili życie jej rozłamało się na dwoje, odcięło się, oderwało nazawsze od przeszłości.

Nazajutrz o tejsamej godzinie i w tejsamej kaplicy, gdzie miał odbyć się ślub, ona i Liszt, przysięgali Bogu, że biorą rozbrat ze światem: on, że się poświęci tylko muzyce kościelnej, ona, że pisać będzie tylko w przedmiotach treści religijnej. Liszt zamieszkał w Rzymie i wkrótce przywdział suknię duchowną, a choć nie wziął nigdy tych wyższych święceń kapłańskich, nosił ją przecież do śmierci, a było to poniekąd zewnętrzną formą wierności jego dla tej kobiety nieszczęśliwej, której, jak pisze wspomniany wyżej korespondent rzymski, przysięgł jeszcze w Weimarze, że jej nie opuści nigdy „usque ad mortem”...

Ale żaden człowiek szlachetniejszy, zwłaszcza mężczyzna, nie może żyć wyłącznie dla swoich przywiązań serdecznych. Żona, przed Bogiem i ludźmi prawnie przyznana, ma swoją powagę inną: idzie za mężem wszędzie, i zawsze jest na swoim miejscu obok niego, ale jedynie ona, więc tu tak być nie mogło. Liszt musiał kiedyś wrócić do kraju i wrócił, zamieszkał w Peszcie i księżna Karolina pozostała samotną aż do śmierci. Córkę wydała za męża, za księcia Hohenlohe i cała poświęciła się nauce i książkom, studjom filozofii religijnej, przyczem nauczyła się pohebrajsku, aby poznać Pismo Święte w orginale. Dawniej pisała głównie o sztuce. Praca jej, niepospolitego estetycznego znaczenia: „Michał Anioł i kaplica Syxtyńska” drukowane najpierw w Paryżu, w *Revue des Mondes*, przyniosło jej wyższą już sławę literacką, ale teraz gardziła tym szumem próżnym, który jej nie dawał, i to, co pisała wydawała w ograniczonej liczbie egzemplarzy dla małej liczby wybranych i przyjaciół swoich. Tak wyszły: „Religia i świat”, „Buddaizm i chrześcijaństwo”, „O rozszerzeniu wiary”. W 1876 r. wydała podobnie z ogromnego, piętnaście tomów obejmującego dzieła; cztery jego tomy pod tyt.: „Przyczyny wewnętrzne zewnętrznego osłabienia kościoła”, lecz tu cenzura kościelna położyła veto swoje, ale ona upomniała się o to u Piusa IX prośbą, aby sam je przeczytał, co też miało skutek taki, że zakaz czytania tej książki przez wiernych kościołowi usunięty został. Ale doznana goręć pozostała jej w sercu, zwłaszcza, że następnie jej dzieło: „O poprawie Kościoła” znowu uległo klątwie takiej. Od tego czasu, choć pisała i drukowała bardzo wiele, nikt już dzieł jej nie poznał, nikt ich nie czytał. Zaufany jej drukarz Aureli, sam przynosił do jej gabinetu korekty, które osobiście robiła.

Przez cały ten czas nie ruszyła się z miejsca, z pomieszkania zajmowanego przy Via Babuino

w chwilach życia choć trochę szczęśliwszych, bo z jakąś jeszcze szczęścia nadzieją. Nawet poza miasto nie wyjechała już nigdy i tylko widywano ją niekiedy jadącą do kościoła lub na przejażdżkę jakąś starego Rzymu samotną ulicą. Ale i to wkrótce ustało; zamknęła się w domu, jak zakonnica w klasztorze. Przyjmowała bardzo wiele osób, ale sama nie przestępowała już progu swego zamknięcia. Brak ruchu, brak świeżego powietrza przyspieszył śmierć, ale ona nie pragnęła też przedłużyć życia.

Zgon Liszta, który co rok przybywał do niej do Rzymu na kilka miesięcy, był ciosem strasznym i odtąd już prawie nie opuszczała sypialni swojej. Pisała prawie ciągle dnie całe i wśród bezsennych nocy, ale widywała się już mało z kim. Na cztery miesiące przed śmiercią nie podnosiła się już wcale; umierając miała przy sobie córkę i wnuka, księcia Konrada Hohenlohe.

Sprawia to wrażenie smutne, że ją pochowano na cmentarzu niemieckim; cmentarza polskiego w Rzymie niema; ale do ostatniej chwili mówiła przyjaciółom, że pragnie leżeć na cmentarzu międzynarodowym S. Wawrzyńca, inaczej „Campo Varano”. Korespondent Gazety „Warszawskiej”, który się zdaje należeć do tych przyjaciół jej dni ostatnich, pisze, że do ostatniego tchnienia gorąco kochała kraj. Gdyby nie smutna tragedia, której pozwoliła wtargnąć w życie swoje, byłaby spoczęła cicho po walkach i pracach życia w rodzinnej ziemi Podola i córka jej, której nie byłaby zabrała krajowi, która nie byłaby została wynarodowioną, nie złożyłaby jej szczątków tam, gdzie składają się tylko kości Niemców!

Grób taki smutny jak życie, tak jak życie gniotący! Miała w piersiach wzniosłego ducha, była myślicielką głęboką, kobietą uczoną, wielką panią bogatą; że przecież nie umiała się trzymać kotwicy obowiązku, wszystkie te dary losu zmarniały dla niej. Wprawdzie niższe od niej istoty, byłyby sobie i tak znalazły na świecie świata używanie, ale dusze wyższe, szlachetniejsze, muszą się trzymać wiernie drogi prostej, bo na innej źle im, ciężko.—Pod suknią splamioną noszą serca rozdarte.

M. Ilnicka.

POGRZEB

ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego.

Piéro nie starczy, ołówek nie podola zadaniu, aby opisać i wyrysować wszystko, co się widziało i odczuło w tym pamiętnym dniu 18-go Kwietnia, w którym wedle zapowiedzi śmiertelne szczątki wielkiego pisarza złożono w „grobie zasłużonych” na Skałce Krakowskiej.

Pospieszły tłumy ze wszelkich stron, aby tak samo uczcić zmarłego, jak go czczono w święto jubileuszowe za życia przed laty osmiu, aby mu tak samo usłać drogę kwiatami i wawrzynem, tak samo podnieść go na barkach, tylko z innym uczuciem w sercu i z innemi łzami w oczach; pospieszyły z ostatnią posługą, pod znakiem czarnego sztandaru śmierci, która tym razem swój oplakany tryumf obchodziła...

Dziwnie się złożyło, że w tym samym Krakowie, w tych samych prawie miejscach, które były świadkami hołdu składanego najpracowitszemu, najrozdolniejszemu pisarzowi polskiemu za życia, oddawano mu cześć należną po śmierci. Taksamo przez ów wspaniały rynek pod Sukiennicami, przeciągał teraz tysięczny tłum, jak wówczas, gdy pod oknami hotelu drezdeńskiego kupił się głowa przy głowie z pochodniami w rękach, z okrzykami na cześć jubilata; taksamo w starym kościele Panny Maryi duchowieństwo od ołtarza wyszło na spotkanie nieboszczyka, jak przed laty

ósmiu z Bogiem witało go w tych progach, przychodzącego złożyć dziękczynne modły za chwilę rozkoszy i nagrody, jakiej mało któremu z śmiertelnych a największych dożyć dozwolonem było. Taksamo wyprowadzono go przy odgłosie dzwonów i śpiewów z świątyni, aby odebrał pokłon i hold za pracę i twórczość całego żywota; tylko, że głowy odkryte pochyliły tym razem w milczeniu ku ziemi przed trumną, z której już nigdy nie miał się odezwać ów głos pełen łagodnej pokory i skromności: „Nie zasłużony bierze, lecz szczęśliwy...”

Niezwykłym ruchem zawrzał cały Kraków w wigilią dnia, przeznaczonego na pogrzeb; po ulicach snuły się gromadki licznych przybyszów, z okien i balkonów powiewał kir i czarne chorągwie na znak żaloby, na wszystkich rogach olbrzymie plakaty obwieszczały program pochodu pogrzebowego i wzywały straż obywatelską do utrzymywania porządku w tłumie. Ulicą Świętojańską ku kościołowi księży Pijarów, snuł się nieustanny rój ludzi wszystkich stanów, wieku i płci; każdy dążył do krypty, by z wysiłkiem wielkim przecisnąć się do owej skromnej trumny, ustawionej wśród jarzących świec, wśród lawiny kwiatów i wieńców, w ciemnej, głębokiej kostnicy, do której wązkie kamienne schody prowadziły w podziemie.

Niepodobna zapomnieć wrażenia, jakie ten widok sprawiał... W pomroku krużganków, jak duchy, snuły się żywym wieńcem, ludzkie postacie, cicho, bez głosu, niemal bez szelestu dokoła trumny wielkiego męża, który tu poraz pierwszy spoczął zupełnie po trudach żywota. Majestat śmierci instynktownie chciano uszanować, jak głęboki sen pracownika, co znużony pod cieniem tych sklepień głowę złożył na wieczny spoczynek.

Pielgrzymka do trumny Kraszewskiego, trwała przez trzy dni ostatnie; straż obywatelska z przepaską żalobną na ramieniu, utrzymywała porządek, którego nikt nie śmiał zakłócić.

W Poniedziałek zeszłego tygodnia dzień się zaczął chmurny i dżdżysty; słońce jakby za krepą świeciło, na wzór owych latarni gazowych, które pozapalano wzdłuż całej drogi, jaką przechodzić miał kondukt pogrzebowy.

Od ósmej rano gromadzić się zaczęły przed kościołem księży Pijarów deputacje z wieńcami, cechy z chorągwiami, straż pożarna w mundurach, duchowieństwo w białych komżach, zakonnicy w habitach; wszystkie okna zapełniły się widzami; na balkonach, na dachach, na gzem-sach z każdą chwilą przybywało coraz więcej ludzi.

Mistrz ceremonii, p. Adam Miłaszewski, z członkami komitetu pogrzebowego, w żalobnym stroju, szykował orszak, ustawiał korporacje, wyznaczał miejsca przybyłym, dawał wskazówki.

Podczas tego odbywało się w górnym kościele nabożeństwo żalobne za duszę nieboszczyka.

Olbrzymi, długi, wspaniałe waży rozwijał swe pierścienie zielono centkowane na bruku miejskim wzdłuż całej ulicy Świętojańskiej aż pod progi maryackiego kościoła; każdy pierścień jego stanowiła osobna deputacja niosąca wieńcami z kwiatów i laurów, związanych białymi w największej części wstęgami ze stosownym napisem. W tych kwiatkach i wstęgach wyraził się żal publiczny trzystu przeszło instytucji wszelkich, osób wybitnych i korporacji.

Obliczano, że wieńców na ilość złożono tyle, ile dni w roku.

Wszystkich niepodobna było nieść przed trumną; trzecią część złożono na wspaniałym karawanie, zbudowanym umyślnie na wzór wozów żalobnych, jakie widzujemy w Warszawie. Służba pogrzebowa w paradnych mundurach pieszo i na koniach z białymi pióropuszykami na stosowanych kapeluszach otaczała mary.

Po godzinie dziewiątej wyniesiono trumnę z krypty; deszcz mżył, niebo było puchmurne.

Sędziwy prezes Akademii Umiejętności Dr. Józef Majer, stanął na podwyższeniu i nad zwłokami pierwszą wypowiedział mowę na temat własnych słów nieboszczyka: „Bóg niech czyni

z ciałem, co wola Jego, z duszą co łaska, z pamięcią, co sprawiedliwa.”

Pracowitości główny hold oddał, podniósł zdziwiająco twórczość pisarza, wyraz uznania poświęcił użytecznej działalności zmarłego, jako członka akademii, zakończył słowami: „W Kraszewskim zagasła jedna z najświetniejszych gwiazd naszych. Bolesne to, lecz pocieszmy się, gdyż gwiazd gaśnięcie poprzedza zazwyczaj jutrzenkę.”

Piękne słowa, ale, niestety, na niebie naszego żywota, na horyzoncie literatury, gdy gwiazdy gasną—nie ku świtowi dzień idzie.

Dźwignięto trumnę i pochód ruszył przy odgłosie dzwonów i psalmów żalobnych liczego duchowieństwa; ks. infułat Henryk Matzke prowadził kondukt do kościoła maryackiego. Srebrne sznury przy trumnie nieśli Dr. Majer, prezydent miasta Dr. Szlachetowski, przedstawiciel rady miejskiej ze Lwowa p. Walichiewicz, delegat Wydziału Krajowego p. Milieski, Juliusz Kosak i Adam Pług (Antoni Pietkiewicz) stary druh, przyjaciel serdeczny nieboszczyka; ta gwardya honorowa przy marach zmieniała się podczas drogi.

Do kościoła Panny Maryi weszły tylko deputacje z wieńcami, duchowieństwo, rodzina i osoby zaopatrzone w bilety wstępu; obawiano się przepełnienia i natłoku. Tłumy ludu, pomimo deszczu otaczały świątynię i zalegały cały rynek pod Sukiennicami. W głównej nawie przed wielkim ołtarzem na niskim katafalku ustawiono trumnę; obok niej z obu stron połyskiwały dwa ogromne miecze, niesione jako insygnia sławetnego cechu rzeźników krakowskich, ofiarowane ongi przez Jana Kazimierza za mężną obronę miasta od Szwedów. Wydobyto je wyjątkowo ze skarbcza cechowego dla uświetnienia pochodu i na dowód czci, jaką całe mieszczaństwo krakowskie pośpieszyło oddać zmarłemu Nestorowi ojczyznej literatury.

Inne cechy wystąpiły z berłami i chorągwiemi swemi; nie brakło nikogo, z tych, co, sami pracując całe życie, wielką pracą ucześć i ocenić sercem, jeśli nie krytycznym umysłem, mieli.

Od ołtarza ks. biskup Dunajewski przemówił do dycejarza przed rozpoczęciem nabożeństwa.

Na chórze Towarzystwo Muzyczne pod kierunkiem dyrektora swego, p. Barabasa, wykonało „Requiem“ Verhulsta.

Po nabożeństwie ks. prof. Chotkowski wszedł na kazalnicę i wygłosił długą, pełną pięknych retorycznych zwrotów mowę, w której *ex re* Kraszewskiego dotknął mnóstwo kwestyi ogólniejszego znaczenia. Mowa wyszła z druku, można ją odczytać w dosłownem brzmieniu.

Cały majestat, cała wspaniałość pochodu rozwinięły się dopiero po wyjściu ze świątyni; nawet słońce, jakby mu się żal zrobiło tego widoku, błysnęło zpoza chmur pogodniejszym okiem, deszcz ustał i cały, olbrzymi kondukt rozwinął się wzdłuż rynku, ulicy Grodzkiej, Stradomia ku Skalce, płynąc korytem wśród żywych brzegów ludności, zatamowanej łańcuchem straży obywatelskiej.

Ta straż utrzymywała wzorowy porządek i karność zadziwiająco składała się z tysiąca osób wszelkiego stanu i wieku, począwszy od malców, a skończywszy na siwych starcach; nawet kobiety udział w niej brały. Publiczność nie napierała się nieśfornie, nie zrywała przegrody, dała się kierować uprzejmem słowem i uwagą; był to poważny, żalobny orszak, nie gawiedź ciekawa a bezmyślna.

W tysięcznych tłumach znać było wrażenie uroczystej chwili i nastrój niepospolity; wspólność straty, odczutej głęboka przez wszystkich, wytwarzała jeden ton smutku. Na widok trumny oczy zachodziły łzami, mężczyźni nie wstydzili się płakać, kobiety w żalobie przeważnie podnosiły chustkę do oczu, a na ustach znać było szept gorącej modlitwy. Dzwony wszystkich kościołów płakały wraz z ludem, a stary Zygmunt prym trzymał w tym chórze.

Niepodobna wymienić wszystkich wieńców i wszystkich wysłanników; kogo tam nie było!... łatwiej powiedzieć kogo brakło i kto śmiał rozmyślnie

się usunąć, ale o tych *nieobecnych* najczęściej wspominać nie warto. Pustki się po nich nie czuło.

Pochód rozpoczął pluton straży pożarnej w błyszczących hełmach, dalej szły cechy, stowarzyszenia i korporacje rzemieślnicze, niosąc chorągwie, berła, godła i wieńce. „Sokół“ lwowski, krakowski i tarnowski w mundurach gymnastyków, szkoły, zakłady naukowe, pensjonaty, czytelnie młodzieży, stowarzyszenia uniwersyteckie, delegacje artystów malarzy i rzeźbiarzy, artystów dramatycznych lwowskich i krakowskich;—warszawscy śnać nie wiedzieli, że w Kraszewskim umarł także autor „Miodu kasztelańskiego“ i były dyrektor teatru w Żytomierzu.

Malownicze grupy tworzyli włościanie w siermiągach, jako delegaci rad powiatowych krakowskiej i wielickiej; żydzi wystąpili osobno z wieńcem: „od rodaków“, izraelitki z wielu miast przyłączyły się, jako wdzięczne wielbicielki dzieł i talentu zmarłego. Żydzi wogóle znaleźli się godnie podczas całego obchodu. Na Kazimierzu i na Stradomiu w dzielnicach przez samą ludność izraelską zamieszkałych, wszystkie sklepy pozamykano podczas pogrzebu; znać było złączenie się solidarne z całym aktem, z nastrojem ogólnym z żalobą. Nikt ich nie zmuszał, nikt nie wzywał: sami się poczuli do tego obowiązku.

Rady miejskie, stowarzyszenia mieszczańskie, przemysłowe, rolnicze, handlowe, lekarskie, prawnicze, izby adwokackie, muzea, seminarja, koła literacko-artystyczne lwowskie i krakowskie, „Macierz polska“, towarzystwo imienia Mickiewicza, wreszcie prasa i Akademia Umiejętności miały swoich przedstawicieli i swoje wieńce w tym pochodzie. Dziennikarstwo i piśmiennictwo warszawskie najliczniej wystąpiło; uderzał brak skrajnie postępowej i skrajnie konserwatywnej reprezentacji. Ostateczność się zeszyła.

Ze wszystkich stron Europy, od swoich i obcych, posypano laury na trumnę Kraszewskiego. Cześć przysłała sześć wieńców, zwitych z biletów wizytowych ze stosownymi napisami. Bałucki niósł wieńiec Maurycego Jokaja. Kilka dzienników francuzkich, *République*, *Journal des Débats*, *La France*, wreszcie *Société internationale littéraire*, którego zmarły był honorowym prezesem, nadesłało wieńce i delegatów.

Francuzi nadziwić się nie mogli całemu obchodowi; porównywali go z pogrzebem Wiktora Hugo; przyznawali, że więcej szczerzej, głębiej, majestatycznej powagi i żaloby bez sztucznego efekciarstwa i teatralnej wystawy znaleźli w tym ostatnim holdzie dla zmarłego tytana pracy. Mówili tak, ale zapewne nie napiszą tego w swoich korespondencyach i sprawozdaniach z pogrzebu; zwłaszcza po mowie posła Lewakowskiego w kole literackim na wieczornem zebraniu, który kilka słów gorzkiej prawdy wypowiedział przy sposobności—serdecznej—przyjaciółce z Zachodu.

Przy ulicy Skalecznej konwent ks. Paulinów oczekiwał w pełnym komplecie przybycia zwłok nieboszczyka; na dziedziniec klasztorny, otoczony murem, weszły tylko delegacje z wieńcami, duchowieństwo, rodzina zmarłego i kobiety; trumnę na barkach wniesiono na wschody, wiodące do krypty „zasłużonych“; zagrzmiął znowu chóralne śpiewy i modły duchowieństwa; prezydent miasta Dr. Szlachetowski zabrał głos, lecz mówił, nie jak burmistrz sławetnego grodu, nie jak przedstawiciel mieszczaństwa i rady, ale jak referent literackich lat służby nieboszczyka; po nim w imieniu stolicy, delegat miasta Lwowa Dr. Roszkowski, prof. Uniwersytetu, pięknie, płynnie, z retoryczną swadą, z głębi serca skreślił wielkość straty, jaką nietylko nasza, ale powszechna literatura poniosła przez śmierć Kraszewskiego.

Adam Pług, przedstawiciel prasy warszawskiej mówił z przejęciem, gorąco; w pięknym zwrocie rozstrzygnął kwestyą pochowania serca zmarłego w kościele Świętokrzyskim; serce to musiało zostać w Krakowie, bo przy balsamowaniu zapomniano go wyjąć z piersi nieboszczyka. War-

szawa o to żalu i pretensji mieć nie będzie do Krakowa, nie może...

Ostatni przemawiał prezes Czytelni Akademickiej, słuchacz Uniwersytetu p. Jaworski, przyrzekając u trumny wielkiego męża w imieniu młodzieży że hasła jego „miłością, prawdą, a pracą“ trzymać się będzie zawsze w drodze swojego życia i dążeń.

Daj Boże.

W krypcie, ks. kanonik Polkowski odczytał akt na pergaminie drukowany, następującej treści: „W Imię Pańskie Amen. Ku wiecznej pamięci potomnym zapisuje się, jako w dniu 18-go Kwietnia R. P. 1887 w poniedziałek po Niedzieli Przewodniej w grobie starożytnych w Krakowie na Skałce u Sw. Michała, po uroczystym pogrzebie kosztem miasta Krakowa sprawionym, złożono zwłoki ś. p. Józefa Ignacego Kraszewskiego urodzonego w Warszawie d. 29 Lipca 1), roku 1812 a zmarłego w Genewie d. 19 Marca roku 1887. Działo się to wobec niżej podpisanego komitetu pogrzebowego, rodziny i licznego współudziału obywatelstwa ze wszystkich ziem polskich.“

Akt ten umieszczono obok trumny w grobowcu, nieopodal śmiertelnych szczątków Długosza; ciężka kamienna płyta z napisem odpowiednim zapadła nad lochem i trumna Kraszewskiego zniknęła na zawsze z przed załzawionych oczu świadków tej sceny.

Grób zamurowano; na grobie stanął piękny sarkofag z szarego piaskowca, według projektu p. Tomasza Prylińskiego, znanego architekta i restauratora Sukiennic. Bronzowy medalion zdobi go, a samo tylko nazwisko nieboszczyka z datą urodzenia i śmierci mówić będzie potomnym, gdzie ukłękniętą mają z modlitwą i hołdem dla pamięci „nieustrudzonego polskiej myśli pracownika.“

Pod sklepieniami krypty, oświetlonej migotliwymi płomykami świec woskowych, rozbrzmiewało echo wspaniałej pieśni, którą na dziedzińcu klasztornym śpiewał tłum jedną piersią i jednym sercem, podczas gdy setki wieńców spadały zieloną lawiną na grób...

Odgłosy życia, wiary, nadziei i miłości wdzierały się z błyskami słońca do wnętrza mурowanego grobu, jakby tem echem pożegnać chciały odchodzącego w krainę śmierci.

Niech spoczywa w chwale i pokoju!

M. G.

SONET.

Próżno się serce z przeznaczeniem spiera;
Ręka wyroków karty nie potarga;
I próżno rwie się z piersi krwawa skarga:
Rozpacz swym jękiem niebios nie otwiera.

Jest, sprawiedliwość ... co serca wydziera;
Jest miłosierdzie... co wnętrzości targa;
Jest... Milcz—o serce! niech nie bluźni wargą!
Jest czas... co suszy łzy, choć ich nie ściera...

Czas, co wstecz nigdy, nigdy się nie wróci,
Co każde wczoraj—on, wszechmiłosierny—
W nicości przepaść bezpowrotnie rzuci.

Nie, nie! Ja nie chcę tej łaski bezmiernéj!
Mojej boleści śmierć sama nie skróci:
W niebie zostaną piekłu memu wierny!

Charaktery kobiet u Kraszewskiego.

(Dokończenie).

Blizką po duchu krewną Cecylii Horyszkówny jest Irena z powieści *Dziwadła*. Ta nie wydobyla z siebie przez głęboką miłość i boleść siły pracowitego, trudnego torowania dla społeczności swojej nowych dróg istnienia, ale umie być szlachetną przyjaciółką tych, którzy to czynią i mężczynie wyższego pojmują, bierze sobie w „piers magnetycznie“ jego uczucia, dla jego myśli umysł swój otwiera i stoi po stronie jego, który jest wśród świata swojego samotnym. Niewypowiedzianie piękna to postać! Młoda jest, w pierwszym życia rozkwicie, a on, p. Hutor Graba, ma już lat pięćdziesiąt, nie ma też pomiędzy nimi miłości, ani niczego, coby do tego uczucia, choć najmniej podobnym być mogło; przyjaźń to jest jedynie: przyjaźń dwóch istot szlachetnych, wynikająca ze wzajemnego ich dla siebie szacunku, oparta na harmonii dusz, na wspólności celów i pragnień—najpiękniejsze, najczystsze, najszlachetniejsze uczucie pod słońcem! Graba ma dorosłego syna, ale ten bynajmniej na ich stosunek nie oddziaływał; Kraszewski widocznie z rozmysłem chciał młodego Grabę względnie do Ireny tak zupełnie na stronie zostawić, aby nie nad węzeł szlachetnej idei nie łączyło tych dwojga: człowieka ze srebrzącym się już u skroni włosom i dziewicy młodej, śmiałej, wolnej i bogatej, która mogła się stać czemby zapragnęła, a uczyniła się przyjaciółką tego, którego okolica cała nazywała dziwakiem.

Dziwakiem on jest dla tej okolicy, jak długa i szeroka, bo wszystkie szlachetne pojęcia braterstwa ludzkiego w żywe życie wciela, bo stosunki jego z ludem wioskowym urządzone są według sprawiedliwości i miary uczuć chrześcijańskich, bo z całą służbą dworską u jednego stołu siada i szkółkę dla dzieci z własnych pieniędzy i z własnego poczucia obowiązku zakłada, a choć bogaty nie hula, w karty nie gra, balów nie daje, a jedynym zbytkiem, na który sobie pozwala i którego za zbytek nie uznaje, jest książka i sztuka, wydatki na nią.

Tego dziwaka rozumie w całym jego otoczeniu tylko młoda dziewczyna. Irena przejmuje się jego pojęciami, które w życiu stosuje i jej serce, jej dusza, jest pierwszym gruntem, na którym się przyjmuje ziarno jego myśli, wydając najpiękniejszy kwiat szlachetnej kobiecości, z jego najlepszymi wpływami. Piękna i dostojna: „poważna, prawie surowa, spokojna i mężna“, wywiera wielkie wrażenie na młodzieńca z sercem też szlachetnym, ale którego życie wystawiło wcześniej na ogniwo swoje próby. Młodo osierocony, Jerzy Sumin hulał i przehulał majątek; na szczęście że nie rozmarnował jeszcze, nie zatracił wszystkich uczuć i instynktów uczciwych, ale zbity z drogi swojej, nie wiedzący co ze sobą począć, czego się jąć, jedzie po pańskim życiu w rodzinnej Wielkopolsce, po rozrzuconym używaniu i nadużywaniu go w Warszawie, na zapadłe Polesie, do stryjecznego dziada swego, p. koniuszego Sumina, starca maniaka, gdzie spotyka się z Ireną i odradza pod wpływem miłości, którą w nim budzi przyjaciółka p. Graby. Ale ona bogata, a on ubogi!... Taką kobietę pokochawszy, jakże pójść na jej chleb, mężką swą dumę poniżywszy, złamawszy naturalne to prawo, które każe, aby nie żona mężowi, ale mąż żonie był oparciem na drodze życia; bo cóż gdyby kiedyś jej, lub komuś przyszło do głowy podejrzenie, że był w tym związku interessowanym, że pragnął posagu pięknej panny, jej dóbr, jej dostatków?

Wstrząsa się w nim cała szlachetniejsza część jego istoty i uczciwa duma podnosi się tak wysoko, że nie przyjmuje ogromnego daru dziadka, 200,000 zł., dawanych mu, jako odczepne, aby sobie jechał precz, bo pan koniuszy Sumin jest opiekunem Ireny i lęka się o nią, aby Jerzy, któ-

remu po dawnym jego życiu już nie ufa, drogi do jej serca nie znalazł. On ofiarę tę odrzuca, choć nie ma co robić ze sobą... Chce jechać, ale gdzie? Graba, który wierzy w szlachetność ludzkiej natury i w pracę, jako w siłę życia i w siłę odrodzenia, daje mu możność uczciwego i niezależnego istnienia, możność oczyszczenia się z przeszłości i wtedy szlachetna dziewczyna, która go kocha—kocha może za to, że on od niej stroni, zmusza go niemal do tego, aby pancierz, którym sobie pierś otoczył, zdruzgotanym został, aby miłość, wyznana i przyjęta, dała szczęście obojgu.

Jaka to scena, gdy Irena gwałtem daje mu w rękę i czytać sobie każe książkę, gdzie opisane są losy takiego też uczucia, które na milczenie się skazuje. „Listy Jakóba Ortisa“! Przypomina to czytanie biednej Franceski z ukochanym, a nie wolnym dla niej człowiekiem: czy się nad książkę podniosły, ze spojrzeniem drugich oczu spotkały i łańcuch, który okował serce, pękł...

Tu przecież dla miłości godziwej, dla szczęśliwej miłości! *Dziwadła* są, jako powieść, w literaturze naszej rzeczą typowo piękną. Ze swymi szlacheckimi postaciami, już dziś przeszłości, ze swym malowaniem cudownym natury i ludzi tamtejszych i rodziny ubogich Suminów, jest to poemat o wsi naszej, jakiego nikt i nigdy pięknie nie skreślił; przecież akcesoryją to są tylko. Na pierwszym planie stoi postać dziewczyny, która przejmuje od apostoła idei iskrę myśli szlachetnej i przez siłę własnej podniosłości, piękności swej czystego, wysokiego ducha, pociąga ku sobie serce mężczyzny; nakazuje mu z poziomych usterek otrząśnięcie się uczciwie, staje mu się dobrą życia towarzyszką i pomocnicą.

Kwestya sprawy posagowej: małżeństwo niebogatego z bogatą, jest też w *Dziwadłach* podobnie, jak w *Morituris*, jak w *Resurrecturis* podniesioną, ale tu rozwiązanie ona dostaje. Kto pracy zdolność i możność ma, ten posiada w samym sobie kapitał taki, że ubogim już nie jest, i panna, choćby najzamożniejsza, więcej od niego wartości majątkowych do wspólki życiowej nie wnosi, więc ta równość, która tu jest męskiej godności zawarowaniem, zapewniona już zostaje. Jeżeli zatem dwoje takich ludzi miłość wzajemną dla siebie uczuje, mogą, bez żadnej ujemy dla stron obu, ręce na wędrowkę życia sobie podać.

Ale ta miłość, która, związek małżeński sakramentalną jakgdyby mocą sankcjonując, wszelkie nierówności stanu i położen wygładza, nie zawsze jeszcze w jednakowy sposób o szczęściu męża i żony stanowi. Kraszewski, który tu jakgdyby anielskiego istnienia na ziemi perspektywę ukazuje w związku dwóch zarówno szlachetnych istot, w powieści innej. *Męczennicy*, męża tak zaślubionej kobiety do męczenników zalicza. Był młody, zdolny, piękny, poeta; okoliczność, zbliżyły go do panny bardzo wysokiego rodu, księżniczki, której lekcye literatury dawał aż pokochali się prawie bezwiednie, a on, gdy wzajemność poznał, gdy ujrzał uczucie, które się niemal silniejszym wydawało od jego miłości, cofnął się pierwszy i zanim ktośkolwiek w otoczeniu księżniczki, zanim matka mogła podejrzywać, co się stało, uciekł, aby nie stracić władzy nad sobą, aby siłą rozumu i oddalenia leczyć uczucie, niemające prawa bytu; ale rozkochana dziewczyna nie pozwoliła na to. Była jedynaczką, była delikatnego zdrowia; matka przeleżała się o jej życie i prawie gwałtem sprowadzono biedaka, prawie gwałtem zmuszono go do ślubu. Rodzina jego protestowała i silnie. Ojciec, siostra, mieli serce pełne smutku i trwogi o przyszłość i nie były to obawy płonne. Księżniczka, która miała dość siły i odwagi (może przy podnieceniu wyobraźni), aby wolę swoją przeciw woli całej i dość licznej rodziny książęcej przeprowadzić, która umiała miłości swojej odważnie bronić, wobec całego swego świata dumnie przy niej stojąc, godność i wyższość moralną ukochanego człowieka nad tytułu i rodowe przywileje podnosząc, nie potrafiła utrzymać się na tej wysokości do końca. Charakter był w gruncie słaby, niewytrwały. Gdy pierwsza gorącość namiętności, czy fantazyi przeminęła, gdy romantyczne położenie nieszczęśliwej kochanki prze-

1) Data błędna. Kraszewski urodził się d. 28 Lipca. Zkąd do tak uroczystego dokumentu wkraśl się błąd tak rażący i dla-czego, mimo zwróconej uwagi, błędu tego nie poprawiono: rzecz niepojęta.

szło w stan spokojnego życia małżonki, pozwoliła przystąpić do siebie podszeptom złej woli, przycinkom, podejrzeniom ubliżającym mężowi. Broniała go, gniewała się, żaliła, ale spadało to na nią, jak krople zwolna sączącej się wody, i serce, które było miękkie i niewytrwałe, poczęło się rysować i powstały na nim skazy. Wprawdzie i mąż był temu winien. Nie miał dość energii, aby ludzi, małżeńskie szczęście jego trujących, odsunąć od żony, aby nad nią całą dozwołaną mu władzę rozwinąć, ale położenie jego było fałszywe, a spiskująca klika zręczna, zwłaszcza, że podsunął się tu dawniej swatany kuzynek, ksiądz Eustachy.

Rozdzielili się, i szczęście jego przepadło, a z nim zdrowie i zdolność do pracy, a to tem więcej, że rodzina księżęca prześladowała go skrycie i chciała być ślad jego istnienia z powierzchni ziemi zmieść. Ta, co mu niegdyś żoną była, teraz nic o nim nie wiedziała. Bała się może wrażeń smutnych, bała się może wyrzutów sumienia, ich ciała zapomnieć.

Jej się to powiódło, jemu nie; ona poszła drugi raz za mąż, za kuzynka, on został już na zawsze samotnym, choć miłość kobiety szlachetnej z duszą tkliwą i pięknocią anielską zachodziła mu drogę. Ale już nie miał siły, nie miał chęci, aby wykrzesać sobie z serca nową iskrę gorącego uczucia, bo spalone już one było, stłone na garść popiołu.

Kobietę kochającą prawdziwie, do ofiary zdolną i w miłości swej wierną, w miłości mocną i poświęconą, pojmował Kraszewski przez siłę charakteru, przez hart ducha, przez ducha stałość, i miłości, na takiej tylko podstawie ugruntowanej, dawał moc uszczęśliwiania. Nie miłość sama jest szczęścia warunkiem i zapewnieniem, bo może ona przejść, pierzchnąć precz, odlecieć, jak ten ptak, co na zimę w cieplejsze kraje uchodzi. Pani Grabowa z *Dziwadeł*, księżniczka Jadwiga z pierwszej części *Męczenników* (Na Wysokościach), to takie lekkie, a raczej egoistycznie kochające kobiety. Miłość ich pryska, gdy przestaje być zadowoleniem ich pragnień, posłuszną zachęć ich sługą.

Miłość prawdziwa może raczej działać, jak śmierć: zniszczeniem i tajemnicą, ale nigdy nie opuszczeniem. Taką miłość wierną, a twardą, zaciętą, nieubłaganą przedstawił Kraszewski w Elżbiecie Piętkowej, wielkiej woli i rozumu kobiecie, z przydomkiem „Herod-Baba”. Herod-baba kochała silnie, bo po miłość swą w piekło szła i z piekła ją wydostała. Potem wstępuje jej w serce zaciętość, na tego ukochanego, dla tego ogromna, że i miłość była niemała. Kochała! kochała całą siłą uczucia wiernego do godziny ostatniej, w miłość tę zakłęła wszystko, co jest uczciwej kobiety obowiązkiem i szczęściem, i życia radością, a on jej wiarę złamał dla jakiejś istoty lichy! Ale nie samo serce cierpi w niej: jej godność żony, jej duma niewiasty zacnej podnosi się w piersi gniewem nieubłaganym na lekkomyślnego, nieodpowiedzialnego człowieka, co nie znaczy przecież, aby ona czuła się ztąd ze swojej przysięgi, ze swojej powinności względem niego zwolnioną. Że on ją zdradza, to jego sumienia rzecz! Ona się czuje związana przez cześć swoją, przez więź tego na siebie obowiązku wagę „a iż cię nie opuszczę aż do śmierci“... „Piętkowa będzie lepszą od Piętki“... ale pierwszem tej lepszości zadaniem jest w jej oczach nie dać mu się stoczyć na samo dno błota, i mówi księdz, który sumienie jej roztrząsa: „My domowej cnoty i domowego ogniska stróżami jesteśmy, powinniśmy też według sił bronić go od skazy“...

— „Alboż to nie obowiązek jest tego, które musimy wierność przysięgały, od zguby ratować?“ dodaje, a ksiądz tylko już ręce do góry podnosi i błogosławi: „*Ego te benedico!* czyn jakę natchnioną“...

Natchnieniem jej było, jak powiedziała, „od zguby ratować“ tego, któremu przysięgała wiarę dogonną: więc się w drogę puszcza, dwie kruciczki nabite za pasek podróżny katanki zatknawszy, a przeszedłszy przez tortury gniewu, żalu, oburzenia na lichygo męża, dopina swego celu, choć jakże, jakże ciężko!...

Zawsze jednak dumnie, zawsze z wyniosłą i spo-

kojną dla ludzi twarzą! Tlum jej wielbicieli otacza ją, ale jedynie z wielkiego szacunku, ze czci najwyższej i broni, pomaga, wśród zepsutej stolicy saskiej drogi jej ułatwiając, a jeden drugiemu, starszy młodszemu mówi: „Waćpan widzisz te twarz jasną i białą, i postawę królewską, i oczy błyszczące, i usta ukoronowane powagą... Ja patrzyłem, jak rozkwitała, jak ją Bóg opromieniał tą pięknocią, która z duszy płynie! To niewiasta! Mężtwo a czułość... rozum i serce!“

Ale właśnie dla tych przymiotów swych górnych nie chce już należeć do męża, którego orgiom zepsutego świata wydarła. Dostał jej się śmiertelnie przestrzelony, z grosza ostatniego obrany, łazarz i nędzarz: i ona, zalewając się gorzkimi łzami, dniami i nocami ze śmiercią o niego walczyła, ale wywalczywszy—odpycha precz od siebie. Mówi głośno, że czuje do niego wstręt, że czuje do niego obrzydzenie, naturalne w kobiecie czystej; drogi ich rozchodzą się, ale nie przez rozwód, którego ona nie chce, bo ta szlachetna za wysoką jest na to, aby przez bolesne dla jej dumy i zacności niewieściej próby przechodzić, a przytem czuje się zawsze ślubem związaną, choć mąż jej ślubu tego świętość lekceważył. Samotną do końca życia chce zostać, a *Herod Baba* rządzić się umie i w samotności tej dotrwałaby aż do grobu w uczciwości i czci u ludzi, gdyby... gdyby nie to, że nie była z kamienia!... Wybawiony przez nią z czeluści piekielnej, w uratowaniu mu przez nią życia zwolna się podnoszący z upadku, zdołał jeszcze, wojskowego zawodu się chwyciwszy, rehabilitować się przed ludźmi i Bogiem, aż dla smutnego, spowaźniałego, ciężko w duszy pokutującego człowieka, otwierają się wrota łaski i przebaczenia!

Tu Imci pani Piętkowa musiała w nielada sposób walczyć ze sobą, bo jest to natura dumna, ale ma „obok mężtwoa czułość, obok rozumu serce“ i w końcu serce to otwiera się znów dla odkupionego grzesznika i do łaski swej go przyjmuje, a ta *hic mulier*, ta *Herod Baba* przedstawia jeden z najpiękniejszych charakterów niewieściej przez Kraszewskiego z rodzimych rysów naszej kobiecości utworzony, i jako ideał niewieściej cnoty i dzielności postawiony wysoko. Wyszukuje on go w zamęcie nieszczęśliwych czasów Epoki Saskiej, tych czasów moralnego upadku męzczyzny, gdy zepsucie złych przykładów bije nań zzewnątrz, a wewnątrz zacieśniona edukacja szkół jezuickich nie usposabia go do męźnej odporności, i poeta, bo Kraszewskiego poetą uznać trzeba, choć słów w rymy nie wiązał—kochającej kobiecie przeznacza rolę wybawczyni. Ona, u domowego ogniska cicho pozostała, ona może łatwiej stare cnoty rodowe w piersi sobie uchwycić i być zesłabłego, do upadku chyłącego się męża podporą i dźwignią dobrą. Takie niewieściej postaci wytworzenie, takie w niej pojęcie tradycyjnej kobiety naszej już wykreśla dokładnie cały idealny, wysoki kierunek myśli Kraszewskiego dla społeczności swojej. Ale obok kobiety szlacheckiej jest w jego galeryi rodzimych typów naszych cały szereg kobiet z ludu, w świątach szarych, w namitkach lnianych: Ulany, Jaryny... duchy cichsze, pokorniejsze, ale niemniej pięknocią równą spromienione i za serce chwytające. Z kolei one powinny, z pyłu książkowego powstać, wyjść na światło dzienne i ukazać się koło świeżej jego mogiły.

Marya Ilnicka.

NA RUINACH.

POWIEŚĆ

przez

Zygmunta Sarneckiego.

(Dalszy ciąg).

— Skończył uniwersytet. Pisz także... Dzienniki go wychwalają, pod niebiosą wynoszą... Muszę stanąć z nim do współzawodnictwa. Nie chcę,

aby on jeden tylko jaśniał w rodzinie, a o mnie aby mówiono jak o jakimś niemądrym, nieszczęśliwym kopcieszku, zamkniętym w bereźnickim zamku...

— Czekaj! czekaj! — Przechadzał się szerokiemi krokami. — Może się to da zrobić... Tylko, jak ja się tem zajmę!... Mamy nie chciałbym zasmucić... Nigdy nie miałem do czynienia z księgarzami, wydawcami, drukarzami...

— Major to wszystko załatwi. Poszlesz go... dasz mu pieniądze na druk i podróż... On to uskuteczni przedziwnie. Ma stosunki w świecie literackim... przecież pisuje do gazet korespondencye...

— Tak... z Bereźnicy! — mruknął hrabia, krzywiąc usta ironicznym uśmiechem.

— Czyż Bereźnica nie jest stolicą okolicy?

— Stolicą! stolicą!... Więc chcesz koniecznie?

— Proszę... błagam.

Klarcia złożyła ręce jak do modlitwy.

Generał zadzwonił.

Wszedł służący.

— Prosić do mnie pana majora!

Służący wyszedł.

Klarcia rzuciła się ojcu na szyję.

— O! tyś dobry, bardzo dobry!... Ja cię też za to kocham z całej duszy!

— Powiedz raczej, żem słaby, że *à mon diable* nic odmówić nie umiem. — Całował ją, ale wciąż powtarzał: — O! z ciebie istny dyabełek, istny dyabełek!...

Nagle coś sobie przypomniał.

— Ale, ale... zanim major nadejdzie, pomówmy o twojej powieści... Może co jeszcze poprawisz?

— Chętnie... ale co?... Słucham.

Generał z pod marszczącego się białego, dymowego mundura—na którym, na ramionach błyszczący złote galony, a na piersiach świecił podwójny rząd metalowych guzików — wydobyl rękopismo z trudności. Widocznie ojciec i córka w jednaki sposób ukrywali to, czego nie chcieli hrabinie pokazać.

— Nie mamy się czego lękać. Byłam w pokoju mateczki... Pisz. Nie przyjdzie nam przeszkodzić.

— Otóż widzisz, tu... w pierwszym rozdziale, jest coś, co mi przypomina *Assomoir* Zoli... Musiałaś chyba czytać *Assomoir*?

— Czytałam.

— Ah! ty szatanku!... bez pozwolenia...

— Czy bylibyście pozwolili? co... powiedz?... Lecz kiedy mnie posądzasz o plagiat, trzeba sprawdzić.—Zbliżyła się do jednej z szaf i wydobyla książkę.—Który ustęp zakwestyonowałeś?

— Daj—rzekł hrabia i zaczął szybko przewracać kartki.—Ot! tu...

— Czytajmy.

Generał włożył okulary i porównał text rękopisma z textem francuzkim.

— Nie. Jest coś zbliżonego, ale nie to.

— A widzisz!

— Może w *Bel Ami* Guy de Maupassant!...

— Jest i *Bel Ami*.

Podala drugą książkę.

— Także przeczytałaś?—pytał hrabia, patrząc na Klarcie z dumą i podziwieniem.

— Przeczytałam... Powiedz, o co ci chodzi?

Pan August szukał... szukał... ale nie znalazł. Widocznie go to ucieszyło, bo promieniejący cały, ucałował dzieweczkę.

Po chwili przypomniał sobie coś jeszcze... i znów coś jeszcze. Przy porównywaniu jednakże—twórczość Klarcie wyszła zwycięzko. Było jakieś podobieństwo dalekie, nigdzie jednak rzeczywistego plagiatu.

Ktoś do drzwi zapukał.

— Proszę wejść—zawołał generał.

Uchylając ciężką sukienną kotarę, wtoczył się do biblioteki pan major, człowiek średniego wzrostu, otyły, trochę sztywny—jak na ex-wojskowego przystało—kłaniający się od niechcenia, z przyjazną, ale pełną uszanowania poufalością.

Był-to ciekawy — chociaż i dziś jeszcze nie rzadki—typ pieczeniara starej szkoły i wielkiego stylu. Brytan i lis zarazem, grzeczny i arogant, hardy i pokorny, przywiązany do rodziny rzeczywiste a ciągle ją wyzyskujący, jedyny do trudnych i delikatnych misy; równocześnie bał

się i kochał generała szczerze. Kiedy w prowincji odbywały się sejmiki, używany on był do agitacji wyborczej. Przy jego energicznym współdziałaniu kandydat zamkowy musiał zostać marszałkiem. Nie dał się przepięć nikomu; umiał i mowę wygłosić na cześć pryncypała, a chociaż wolał argumentować słowem retorycznym, niż bronią sieczną lub palną, jednakże tehorzem nie był i w ostatecznym razie stanął do pojedynku. Włosy siwiejące malował, bo wielbiąc pleć piękną, starał się jej przypodobać; częste zaś libacje umalowały mu nos i policzki na kolor rubinu. Na tej czerwonoci biała blizna — przez czoło i twarz zarysowana — świeciła jak kometa na ciemnym niebios lazurze. Pragnął uchodzić za wykształconego, dobrze wychowanego i dystyngowanego. Wtrącał do rozmowy francuskie wyrazy, często je przekręcając i akcentując niezmiernie dziwacznie. Hrabia go bardzo lubił... Posiadał także i łaski Klary.

Wszedł i powitał hrabiankę — jak to już powiedzieliśmy — niby od niechcenia, lecz z przesadną i uniżoną galanterią; ojca zaś jej salutował z militarną precyzją.

— Pan generał mnie wezwać raczył... *Je suis à votre service, mon général.*

— Musisz, kochany majorze, poświęcić się dla tej oto pani i wyruszyć w drogę.

— Dla panny Klary... choćby do piekła!

— Tak daleko nie chcemy. Nieprawdaż, Klarciu?...

— W każdym razie wdzięczną jestem panu majorowi za jego uprzejmą gotowość.

— *Chez nous c'est comme ça...* tak w naszym pułku, proszę pani.

— Siadajże, majorze, i słuchaj uważnie, bo niemamy wiele czasu na gawędę — rzekł hrabia, wskazując pasożytowi krzesło.

Major usiadł. Generał opowiedział o co chodzi. Kiedy skończył, pieczeniarski zerwał się z siedzenia.

— Winszuję, winszuję... Nowy splendor spływa na naszą wielką rodzinę... Ja się tego domyślałem... ja to przeczuwałem, bo miałem różne *idées fixes*, a moją fixą było, że panna Klara, kiedy, jako kobieta, nie może zabłysnąć w rycerskim rzemiośle, musi piórem zasłynąć. Co zaś do samego interesu, nic łatwiejszego. Znam wydawców, drukarzy, redaktorów i reporterów. Na reporterach teraz świat stoi! Będą i recenzje... a nie wątpię, że krytyka powita z uniesieniem tak znakomitą autorkę. Słowem: wszystko załatwię jak należy, aby zadowolnić ukochane dziecię naszego przeznaczonego domu i Muz dziewięciu, i Apollina...

— Szczerze będę panu wdzięczną.

— Żona moja nic o tem nie ma wiedzieć, aż do czasu...

— Umieć milczeć *comme une tombe*... jak grób.

— Wieleż ci dać, majorze, na wydatki... no! i na koszt podróży?

— Tysiąc florenów.

Generał skrzywił się. Summa wydawała mu się wygórowaną, ale Klarcia spojrzawszy nań takim wzrokiem, że uśmiechnął się i rzekł:

— Niechże będzie i tysiąc florenów, ale proszę sprawić się dobrze. Wymagam taktu...

— Pan generał może na mnie liczyć... *j'ai l'expérience du métier.*

— Tak, tak... pan major przecie, jako sam literat... pełen talentu... zechce i potrafi poprotegować poczynającą... Ta ostatnia pańska korespondencya w *Ognisku*, tak gorąco broniąca tradycyjnego ogniska domowego... naszych cnót starodawnych... zachwycała mamę... i mnie, i papę także. Nieprawdaż, papo?

Hrabia przygryzał wąsy.

— Pani nadto łaskawa — jakal major oczarowany, uniesiony w siódmo niebo — ciężka ręka, przyzwyczajona do dźwignia pałasza, do ujeżdżania rozchukanych rumaków... zbyt silnie może piórem naciska...

— W samą miarę, panie majorze... w samą miarę. O! bardzo... bardzo ładnie!

Lękając się jednak, aby ojciec nie wybuchnął śmiechem, Klarcia przestała pochlebiać i zwróciła rozmowę na swoją powieść.

— Co do mojej książeczki, nie zapomnij pan,

proszę, aby wydanie było ładne, wykwentne, staranne... Papier welinowy... jasno-żółte albo różowe okładki... Edycya przypominająca najnowsze publikacje francuskie... Tytuł elzewirowy, w dwóch kolorach...

Napierała się o cacka, jak dziecko... bo też w istocie była jeszcze dzieckiem.

— Rozkazy pani, spełnię co do joty.

Za godzinę oczekują na kochanego majora w mojej kancelaryi, gdzie wypłacę mu żadaną sumę. Na wyrazie „żadane“ położył generał lekki nacisk. Obecnie możesz zabrać z sobą rękopismo i przygotować się do drogi. Przy kolacyi pożegnasz pan hrabinę.... Powiesz, że wyjeżdżasz w swoich własnych interessach. Rozumiesz!... O tem; o czem tu była mowa; przed nikim w zamku ani słówka.... Sza, cicho!

— *Silence, mystère!* — wydekłamał pieczeniarski tonem melodramatycznym i ucałowawszy rękę Klarcii, wytoczył się z biblioteki.

— Czyś zadowolona! — spytał hrabia.

— Bardzo! — zawołało dziewczę i usta jej blade złożyły na zwiędłych policzkach ojca pocałunek wdzięczności.

Upłynął tydzień, dwa, trzy, cztery; major nie donosił.

Klarę milczenie jego niecierpliwilo; nie dawała jednak tego poznać przed ojcem, więcej może przez dumę, niż przez nadmiar delikatności. Pan August, obserwując ją uważnie, pilnował obecnie aby nie pisała, aby odpoczęła należycie po kilkotygodniowym trudzie. Wyjeżdżał z nią razem na spacer, bawił ją, rozrywał, starał się, by znaczną część dnia przepędzała na świeżem powietrzu, czas bowiem był piękny, a stała pogoda sprzyjała wycieczkom.

Pewnego popołudnia, wracając z oddalonego folwarku, na którym ogładali sprowadzone z Saxonii barany, czystej krwi elekty — ujrzeni w lesie dębowym, przez który wiodła droga do zamku, gromadkę ludzi, skupioną przy gościńcu. Generał dał rozkaz stangretowi, aby konie zatrzymał i, poznawszy jednego z włóścian, zawołał:

— A co to, mój Arsen? nad czem tak radzicie?

Chłop zdjął czapkę i zbliżył się do powozu.

— Ot licha! — *proszu*, jaśnie pana.

— Co za licha?

— Cygan kował się powiesił.

— Tu?

— A tu, *proszu* jaśnie pana. Oderzneliśmy, myśląc, że się go jeszcze uratuje, ale *lude* tam.... Czort duszu wziął!

— Papo, pójde zobaczyć! — szepnęła Klara.

— Na co? Tego rodzaju widok tylko przykre wrażenie może sprawić na tobie.

— Muszę wszystko poznać... wszystko widzieć.

— *Koty paniuncia choczyt*, jaśnie panie — mówił Arsenii.

— Chcesz koniecznie?

— Tak, papeczko.

— Pamiętaj, abyś nie żalowała.

Lokaj zeskoczył z kozła i otworzył drzwiczki od powozu.

Generał wysiadł pierwszy i podał rękę Klarze, która śmiało i spokojnie postępowała naprzód. Arsen zbliżył się do gromadki i rozsunął chłopów, otaczających trupa. Leżał on pod niewysokim drzewem, o konarach podanych naprzód, ku drodze. Hrabia szukał napróżno, przywykłym zapewne do podobnych scen wzrokiem, sznura uciepionego u jednej z gałęzi. Potem spojrzawszy, czy nie owija szyi nieszczęśliwego samobójcy, który wyglądał okropnie. Z pod śniadego czoła, gęstych czarnych brwi i powiek w pół przymkniętych wizerowały same tylko zaczerwienione białka oczu, jakby źrenice gdzieś do mózgu uciekły. Ciemna, zsiniała twarz, zdawała się być zlodowaciała w śmiertelnym kurczu, który ją szkaradnie wykrzywił. Z otwartych ust, obramowanych dwoma rzędami białych, ostrych zębów, zwiślał szerniały język.

Klarcia, raz tylko spojrzawszy i cofnęła się ze wstrętem. W głowie się jej zakręciło, zaszumiło w uszach. O mało nie zemdląca.

— A nie mówilem! — mruknął pan August i szybko doprowadził córkę do powozu.

Bez pomocy służącego uniósł Klarę w górę i złożył ją, prawie bezwładną, na siedzenie. Sam

za nią wskoczył, drzwiczki zatrzasnął, krzyknawszy na stangreta gromko:

— Ruszaj!

Biegnąj za nim Arsen, kłaniał się nisko, drapiąc się palcami po głowie.

— Jaśnie *panuczku*, a nie będzie nam biedy przed sądem, cośmy oderzneli?

To już wasza rzecz — odparł zirytowany generał — powinniście znać prawo.

Konie, zacięte biczem, pomknęły żwawo po skalistym, gładko wyrównanym gościńcu.

Hrabia powtarzał:

— A nie mówilem! a nie mówilem!

W kilka minut potem Klarcia ochłonęła z przestraszu i wzruszenia.

— Przepraszam, papo. Zmartwiłam cię, zaalarmowałam, ale już nic... nic mi nie jest. Widzisz, rozum pragnął zapoznać się z nieznanym widokiem... nerwy nie pozwoiły. O! te nerwy!... Po chwili dodała: — Każda... każda śmierć okropna!

— Moja uległość dla ciebie przechodzi wszelkie granice. Gniewam się na siebie, doprawdy...

— Nie masz słuszności. Ja cię tak kocham, ojezulu, za to, że mi ulegasz!

Wyrazem „kocham“ zawsze rozstrajała starca.

Generał widocznie coś sobie przypomniał, bo się uśmiechnął.

— Ach! ci nasi chłopci!... Czy mniemasz, że go oderzneli, aby ratować?... Gdzie zaś! Nienawidzili cygana całą ową nienawiścią ras sobie wrogich. Powiesił się, bo mu tenże sam Arsen nie chciał oddać córki za żonę... a doskonały był rzemieślnik!... Oderzneli, żeby skraść stryżek, który według miejscowego przesądu, przynosi posiadaczowi powodzenie. Ręczę, że o kawalki pobiją się jeszcze przy trupie.

Śmiał się z cynizmem, pełnym dzikiego zadowolnienia.

— Przesąd *de la corde du pendu*, istnieje tam nawet, gdzie cywilizacya powszechniejszą jest niż u nas.

— A bo lud jest wszędzie zwierzęciem! — zakonkludował generał.

Klarcia myślała tymczasem

— Samobójstwo!... przesąd wszystkich stref, wszystkich ludzi, wszystkich stanów, przesąd bezrozumnej rozpaczki. Zbrodnia głupia, bo bez celu. Co dłoń wieszającego się niszczy? Życie indywidualne, najwyższe dobro, największe szczęście. Szalencie, który się sam na śmierć skazuje, jest tylko tchorzem, uciekającym przed chwilowym bólem lub cierpieniem w objęcia nicości. Ładna zamiana! Wolałabym cierpieć... lecz żyć!

W zamku czekała Klarę radość, która przykre wrażenie przejażdżki łatwo zatarła.

Generał, między innymi licznymi korespondencyami, otrzymał list od majora, krótki, ale jasny. Rezydent pisał:

„Sprawę wiadomą pomyślnie załatwiłem. Wracam i u stóp naszej znakomitej autorki złożę trofea jej tryumfu.“

Poczta przyniosła także ekspedycyą urzędową, zzywającą hrabiego do stolicy państwa.

Major przybył nazajutrz.

(Daszy ciąg nastąpi).

Korespondencya zagraniczna.

Poznań w Marcu 1887 r.

Niedarmo wstąpiliśmy w rok nowy, okryci kirem świeżej żałoby po nieodżałowanym Kantaku. Odtąd nieprzerwanym szeregiem snują się pogrzebowe obchody, trumna za trumną śpieszy, a śmierć wyrwa wśród nas niewyrównane szczyby. Świeżo pogrzebaliśmy młodego, pełnego poświęcenia pracownika, d-ra Romana Maya, który był duszą wydziału przyrodników w Towarzystwie Przyjaciół Nauk, i ochotną przykładal rękę do każdej poczciwej pracy. Nieco wcześniej zgwał w niestarym wieku inny filar tegoż towarzystwa, zasłużony badacz rzeczy słowiańskich

dr Kazimierz Szulc. Trudno sobie wystawić życia większymi miotanego przemianami. Kilkakrotnie więziony w Grudziądzu, Berlinie i Magdeburgu, przebył w Paryżu dnie obłędzenia i Komunny; w Sofii był pod koniec krótkiego panowania ks. Alexandra. Dziecię ludu, potrafił się wykształcić i wybić nad poziom własnymi siłami, zdolnością a nadewszystko poświęceniem. Urodzony w Ziemi Chełmińskiej, już między kolegami szkolnymi budził ducha ku rzeczom ojczystym. Kilkakrotnie podejmował redaktorskie mozoły, stając z kolei na czele „Znicza“, „Tygodnika Wielkopolskiego“, i „Gazety Wielkopolskiej.“ Przez pewien czas był dyrektorem szkoły polskiej w Paryżu, później zawiadywał szkołą w Poznaniu. W r. 1885 udał się był do Bulgarii, z kąd powrócił po wyjeździe księcia Battenberga.

Najtrwalszym pomnikiem rozrzuconego, lecz pracowitego życia Szulca pozostaną studia słowiańskie, które pojawiały się i w rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Składał w nich zmarły dowody znajomości i sumiennego opracowania przedmiotu. Opatrzność dozwoliła mu zmęczone kości złożyć na ziemi ojczystej i umrzeć między swymi.

W tym samym czasie znikła z pośrodku nas postać typowa, zrosła z miastem naszym, ze wszech miar należąca do Poznania. Sp. Leon Poraj Chlebowski, urodzony w r. 1802, później ozdobiony krzyżem *Virtuti militari*, od r. 1839 piastował urząd w starem ziemstwie i stale wśród nas zamieszkiwał. Przyjaciół Marcinkowskiego, kasyer Towarzystwa Naukowej Pomocy, członek Towarzystwa Przyjaciół Nauk, opiekun szpitalika dziecięcego, jeden z założycieli spółki Towarzystwa Przemysłowego, radzca miejski, należał on do każdego zacnego przedsięwzięcia, popierał każdą myśl pocziwą. Prawość jego charakteru najlepszą była rękojmią wartości rozpoczynającego się dzieła. Postać ta sędziwa znana była każdemu mieszkańcowi naszego grodu. Gmina miejska uczciła go tytułem starszego miasta. Przez całe życie zagorzały kalwin, na łożu śmierci z wszelką przytomnością złożył katolickie wyznanie wiary. Do tego kroku zniewoliło go i głębokie przekonanie, i jak twierdzą obawa, aby po śmierci „nie leżeć wśród Niemców.“ Stary wiarus zaprzagnął spocząć między swemi i bodaj ścisnąć jeszcze węzeł łączący go z ukochanym krajem. Umarł ostatni ze swego rodu, prawdziwy mąż *integer vitae scelerisque purus*. Do kroniki żałobnej ubiegłego kwartału dodajmy jeszcze wspomnienie zgonu suffragana poznańskiego, x. biskupa Cybichowskiego, wielkiego ascety i mistyka, co się dziwnie u niego spletało z zamiłowaniem nauk przyrodzonych. Ornitolog zawołany, posiadał on ciekawą kolekcją ptaków i jaj i znał wybornie świat skrzydlaty. Podczas kulturkampfu nie uniknął więzienia, gdzie słabe jego zdrowie ostatecznie poniosło uszczerbek. Skazanym został na dziewięć miesięcy chwalebnych pęt za święcenie Olejów Św., w dniu Wielko-Czwartkowym. Wiedział z góry co go czeka i na co się wystawia; wszelako nie uchylił się od powinności biskupiej, i miał w więzieniu tę osłodę, iż zabezpieczył ostatnią pociechę umierającym.

Zamknijemy tę smutną nekrologią słowem gorącego uznania dla zasług ś. p. księcia Romana Czartoryskiego. Chociaż przed kilku lat już opuścił on był naszą dzielnicę, należał jednak do nas urodzeniem, wychowaniem, działalnością i stosunkami. Urodzony 23 Listopada 1839 r., szkoły ukończył w Poznaniu. Poświęciwszy się prawu, wstąpił do służby państwowej, jako auskultator. Po 1863 r., więziony w Moabicie, miał sobie wytoczony proces polityczny, który tem większe wywarł w Berlinie wrażenie, iż młody książę, urodzony z Radziwiłłówny, blizkim był krewnym domu panującego i ulubieńcem wykrotnego koła otaczającego królową, dziś cesarżową Augustę. Po dłuższym pobycie w fortecy koblenckiej książę Roman wrócił do księstwa i tu szybko rozwinął najpiękniejsze przymioty umysłu i serca. Był on jednym z tych rzadkich ludzi, w których się uwidoczniła błogosławieństwo przyrzeczone pokój czyniącym... W każdej sprawie, w każdym zebraniu był jakby apostołem zgody bratniej, pojednania i miłości. Chociaż młody wiekiem, prze-

wodniczył niemal każdemu zebraniu, piastował przez pewien czas godność prezesa Koła Polskiego w Berlinie; mimo wątłego zdrowia śpieszył wszędzie, gdzie była sposobność ku pracy i niczego dla kraju dobrem nie żałował sercem. Niestety! stosunki rodzinne wywiodły go z księstwa w przededniu próby obecnej. Ale już był uniósł śmiertelny zaród choroby, która go niebawem usunęła z areny politycznej, i po kilku latach błogiej działalności wśród ludu, któremu czynem i przykładem przedstawiał konieczność bratniej zgody na wieki, zgasł przedwcześnie, dla kraju, który go potrzebował, i dla rodziny, która go uwielbiała. Garstka wielkopolskich wysłańców otoczyła drogą trumnę w chwili spuszczenia jej do grobu rodzinnego w Sieniawie, tej nekropoli dobrze zasłużonego rodu.

Ale czas już wrócić pomiędzy żywych, choć bodaj smutniej wśród nich jeszcze, aniżeli na cmentarzu. Tym bowiem, co odeszli nas dzisiaj, miałyby się ochotę na pożegnanie zanucić starą pieśń liuewską z czasów krzyżackich: „Błogo ci, bracie, żeś uszedł do krainy, gdzie nie będzie Niemiec przewodził nad tobą.“ Tu widokrąg ustawicznie się zaciemnia. Kommissya kolonizacyjna rozprzeźnienia swe nabytki, korzysta z agraryjnego przełomu, aby wykupywać zruinowanych właścicieli polskich, bez względu na zakłęcia niemieckich, którzy coraz głośniej wyrzekają na niesprawiedliwość losu i rządu, niechającego ich ratować z ostatecznej toni. To pewna, że miliony kolonizacyjne w polskich prowincjach miarkują szybko postępujące gdzieinaziej obniżenie ceny ziemi. Tylko o kolonistów jakoś niełatwo. Kolonizacja miała być wprowadzona w bieg w dniu 1-go Kwietnia b. r., wskazano nawet na wieś Szlązków, perłę Powiatu Krobskiego, która miała służyć za pole pierwszego eksperymentu i wzór dla innych kolonii. Tymczasem urzędnik, któremu oddano przeprowadzenie i organizowanie rozparcelowania ziemi i pojedynczych osad, dotąd prawie daremnie wyczekiwał osadników. Jednocześnie Bank Ziemi rozpoczął, wprawdzie w skromnych rozmiarach, czynność ratunkową. Wioska tuż pod Poznaniem położona, a zagrożona przejściem w ręce kolonizacji, może ocalona zostanie, jeśli się uda jej rozparcelowanie między polskich włościan. Względy łatwe do zrozumienia nie pozwalają ani zbyt jawnie występować, ani też przechwalać się wzrostem fundusów; to tylko pewna, że płyną one cicho, a nieustannie. Nadeszły już znaczniejsze ofiary z Ameryki, z Petersburga, z Paryża; gdziekolwiek bieda polska o biedzie wielkopolskiej zasłyszała, ztamtąd sypnął się grosz częstokroć wdowi. Rubryka bratniej pomocy w czasopismach poznańskich rośnie wciąż rzewnymi dary; to kiejnocik niewieści, to zegarek studencki, to jałmużna wieśniaka lub dziecięcia przyłącza się do dawniejszych składek. Stowarzyszenie kobiece, mające na celu gromadzenie codziennych, domowych oszczędności na wykup i okup ziemi naszej, zaraz w pierwszych miesiącach swego istnienia piękne złożyło owoce. Owe skarbonki na grosze powszednie dostarczyły od razu około 4,000 marek. Wiele domów zaniechało *święconego*, aby oszczędzony wydatek złożyć w bratniej ofierze..

Wołają i inne sprawy o pomoc. Szpitalik dziecięcy, ta błogosławiona instytucja nowszych czasów, odczuwa u nas ogólną biedę, nie może się rozwinąć z braku odpowiednich fundusów. Na razie, hr. Emilia Mielżyńska dość znaczny zebrała zasiłek, ściągając po pięć marek od osób, które sobie tej zimy odmówiły zabaw i kosztownej rozrywki.

Towarzystwa nasze, jak zwykle, obradowały w Marcu, poważnie, jak przystało na chwilę obecną. Zebrania rolnicze uwydatniły szczerą pracę i światłe usiłowania naszych gospodarzy, dokładających wszelkich starań i trudów, któreby umożliwiły przetrwanie bieżącej próby. Kółka włościańskie są bodaj najbardziej pocieszającym objawem i najlepszym czynnikiem gotującym lepszą przyszłość. Jest ich zawsze około 150; czcigodny ich patron, p. Maxymilian Jackowski, słusznie ubolewał, iż większego przyrostu zaznaczyć nie może. Każde odezwanie się włościanina wrosłego już w instytucją kółek rolniczych, ude-

rzało samowiedzą i znajomością stosunków i wymagań nowoczesnego rolnictwa.

Pomoc Naukowa za trzy lata obchodzić będzie półwiekowy swój jubileusz. Obecnie to zasłużone towarzystwo odczuwa, podobnie, jak wszyscy i wszystko, ogólną biedę, ale ją odczuwa tylko w dochodach i ofiarach rocznych. Natomiast kapitał żelazny wciąż rośnie, stypendyów przybywa i hojne pojedyncze dary i ofiary, korzystnie świadczą o duchu obywatelstwa i poczuciu wspólnych potrzeb. Najnowsze sprawozdanie nietylko potwierdza stały obrachunek, że do dwustu młodych ludzi rokrocznie odbiera zasiłek naukowej pomocy, ale nadto zapisuje nowe takta ofiarności. Obok dwóch kapłanów, z których jeden złożył 30,000 marek, a drugi 15,000 m. do skarbca towarzystwa, błyska nazwisko prostej wieśniaczki, Maryanny Nowickiej z Ziemia pod Wielichowem, która ofiarowała na rzecz Pomocy Naukowej znaczną kwotę 10,000 marek, z życzeniem, aby odsetki użyte zostały na kształcenie młodzieńca poświęcającego się stanowi kapłańskiemu.

(Dokończenie nastąpi).

HYGIENA I MEDYCINA POPULARNA

O pożywieniu i kuracji dyetycznej.

Dla utrzymania życia i rozrastania się człowiekowi, a zarówno zwierzętom i roślinom, niezbędną jest pożywienie. Pożywienie w postaci pokarmów wyrabia soki, a mianowicie krew, która rozprowadzona zapomocą naczyń krwionośnych po całym organizmie, odnawia cząstki zużyte, a także wytwarza nowe. Funkcja ta nazywa się trawieniem, a organa, które ją spełniają, przewodem pokarmowym. Jest ona jedną z najbardziej skomplikowanych funkcji, jakie organizm człowieka wykonywa, i jednocześnie najważniejszą, gdyż przewód pokarmowy w organizmie zwierzęcym jest tem, czem kocioł w maszynie parowej.

Wypada nam pokrótce przynajmniej zaznajomić czytelnika z procesem trawienia, gdyż tylko w ten sposób zrozumiemy być mogą wiadomości z higieny o pożywieniu.

Przewód pokarmowy stanowi przyrząd, w którym pokarm podlega przemianom mechanicznym i chemicznym:

Przyjrzyjmy się przedewszystkiem pierwszemu.

Pokarm ludzki dostawszy się do ust podlega żuciu, to zaś odbywa się zapomocą szczęk, w których pomieszczone są zęby. Szczęki, wskutek kurczenia się dwóch mięśni: tak zwanego żwacza i skroniowego, miażdżą pokarm i czynią go zdatnym do połknięcia. W czynności tej przyjmują także udział mięśnie warg, policzków i język, ten ostatni odgrywa nawet bardzo ważną rolę, wsuwając pokarm między zęby i wyszukując cząstki, które jeszcze ostatecznie żuciem nie zostały i temsamem nie kwalifikują się do połknięcia. Pokarm w ten sposób rozdrobniony zostaje zapomocą odpowiednich mięśni posuniętym do gardzieli, następnie do przelyku, a ztąd dostaje się do żołądka. Żołądek jest to obszerny worek mięsny, w którym włókna krzyżują się w rozmaitych kierunkach; mięśnie te, z chwilą, gdy się pokarm dostał do żołądka, poczynają się kurczyć, skutkiem czego rozpoczyna się rodzaj mielenia, zadaniem którego jest wszystkie cząstki pokarmu, bardziej jeszcze rozdrobnić i ułatwić im zetknięcie z sokiem żołądkowym. Dokonawszy tego, posuwa się pokarm dalej do dwunastnicy, gdzie następuje zetknięcie z żółcią i sokiem trzustkowym. Tak zmieszany pokarm, a niestrawiony w żołądku idzie następnie do kiszki cienkiej, gdzie również podlega zmieszaniu z sokiem gruczołów kiszkowych, ztąd do kiszki grubych i ostatecznie cząstki nieuległe przyswojeniu wydalonymi zostają nazewnątrz. Przy czynności tej kiszki, podobnie, jak żołądek zapomocą mięśni,

wykonywają tak zwany *ruch robaczkowy*, który porusza masy w nich zawarte.

Oto najtreściwiej skreślony obraz trawienia fizycznego, jakie się odbywa w przewodzie pokarmowym człowieka i niektórych ssących.

Przyjrzyjmy się teraz procesowi trawienia chemicznego, który jest bardziej skomplikowanym.

Doprawdy, dla człowieka nieobeznanego z tym przedmiotem, wydaje się czemś nadnaturalnym, że mięso, mleko, chleb, kartofle, owoce i t. p. przemienić się mogą w sok niezbędny do odżywiania organizmu żyjącego t. j. w krew.

Na samym wstępie, zaraz w ustach, pokarm spotyka się ze śliną, którą wydzielają gruczoły przyuszne i podszczękowe, a także liczne pomniejsze pomieszczone w rozmaitych miejscach jamy ustnej.

Wydzielanie soków pozostaje pod wpływem nerwów odpowiednich, czego najlepszym dowodem jest właśnie wydzielanie się śliny, która na sam widok pokarmów, albo nawet na samo ich wspomnienie, pod działaniem nerwów, poczyna obficie do ust napływać.

Woda jest główną częścią składową śliny, która zawiera jej przeszło 990 procent na 1,000. Z innych części składowych najważniejszy jest jej ferment *ptyalina* i *mucyna*. Obfitość wody w ślinie sprawia, iż jest ona zdolną rozpuszczać w sobie części rozpuszczalne pokarmu, a prócz tego zamieniać mączkę, która stanowi jedną z najważniejszych części składowych naszego pokarmu, gdyż zawiera się w chlebie, kartoflach, jarzynach i t. p., — w cukier gronowy, czyli owocowy. Tak zmieniona przez ślinę mączka w cukier staje się rozpuszczalną w sokach kiszek cienkich i tamże z łatwością bywa trawioną. Jeżeli pokarm mączkowany pozostaje w ustach przez przeciąg jednej minuty w zetknięciu ze śliną, następuje przeobrażenie jego w cukier. Inne pokarmy, niemączkowe, jak białko, nie podlegają działaniu śliny, przechodzą niezmiennie do żołądka. U zwierząt mięsożernych ślina służy wyłącznie do zwilżania pokarmów i tem samem ułatwia ich przelykanie.

W gardzieli i przelyku pokarm, zmiażdżony w ustach i zmieszany ze śliną, nie podlega żadnym przemianom; zeslizguje się on po ich błonie śluzowej do żołądka i dopiero tutaj podlega właściwemu trawieniu, a w części i assymilacji (przyswojeniu).

Czynnikami tu jest, prócz temperatury, która dosięga + 37°C., tak nazwany sok żołądkowy.

Zdrowy żołądek, w stanie czczości t. j., gdy jest pustym, nie zawiera soku żołądkowego, dopiero z chwilą wypełnienia go pokarmami, rozpoczyna się jednocześnie wydzielanie soku, który napływa tem obficie im drażnienie ścianek jest większe, co zależy od ilości i jakości pokarmu.

Dla zbadania własności fizycznych i chemicznych soku żołądkowego, zapuszcza się suche gąbki umocowane na nitkach przez usta, takowe obecnością swą drażnią błonę śluzową żołądka i zawarte w niej gruczoły; sok wydziela się obficie, wsiąka, a wyciśnięty z wyjętych gąbek służyć może do badania. Lepiej jednakże skuteczniać to zapomocą fistuły żołądkowej na zwierzętach, szczególnie na psach; było także kilka wypadków, w których fistuły takie tworzyły się u ludzi i pozwalały sok żołądkowy człowieka podawać badaniu.

Gruczoły wydzielające sok żołądkowy u człowieka znajdują się na całej powierzchni wewnętrznej żołądka, są bardzo gęsto usiane i wydzielają go około 500 gramów ($1\frac{1}{3}$ f.) na godzinę. Sok żołądkowy jest płynem przezroczystym, bezbarwnym, prawie bez żadnego zapachu, smaku słonego, nieco gęstszy od wody; odczyn ma

kwaśny. Na 100 części zawiera 99 wody, a pozostała jedna część składa się z soli, z kwasu solnego w wolnym stanie i z substancji organicznej.

Sole składają się z chlorków alkalicznych i ziemnych, fosforanu wapna, węglanu wapna, a także śladów soli żelaznych.

Kwas solny, który w soku żołądkowym, jak już wspomnieliśmy, jest wolnym, stanowi jeden z ważniejszych czynników trawienia.

Substancja organiczna, powszechnie znana pod nazwiskiem pepsyny, stanowi główny czynnik w sprawie trawienia, i dlatego kilka słów obszerniejszych zamierzam jej poświęcić.

Jest ona rodzajem fermentu, jak ten, który widzieliśmy w ślinie. Jest ciałem należącym do szeregu azotowych, bardzo podobnym do białka; jak to ostatnie ciało posiada własność rozpuszczania się w wodzie, w alkoholu zaś jest nierozpuszczalną, tanina i octan ołowiu strącają ją t. j., tworzy się pod ich wpływem osad. Różni się tem od białka, że kiedy to ostatnie ciało zagotowane ścina się, pepsyna nie podlega pod wpływem wysokiej temperatury tej własności. Działa wyłącznie, jako ferment, t. j., jako substancja trawiąca, w obecności kwasu wolnego, jeżeli ją takowego pozbawić, co osiągnąć można nasycając sok żołądkowy sodą, wtedy staje się niezdatną do trawienia. W nocy wydzielanie się soków żołądkowych zmniejsza się znakomicie lub zupełnie ustaje.

Bezwątpienia, dla czytelnika nieobznajmionego z chemią organiczną, zrozumienie sprawy trawienia nie jest łatwym; a jednak przyjrzyjmy się w jaki sposób żołądek, a raczej jego sok zmienia mięso, chleb, jarzyny, owoce i t. p. w krew.

Najpierwszym warunkiem jest to, aby ciało przeznaczone na pokarm i wprowadzone do żołądka było rozpuszczalnym w jego soku.

Nadmienić w tem miejscu potrzeba, że główną, a nawet prawie jedyną, pożywną częścią pokarmów, jakie spożywamy jest białko. Pokarm niezawierający białka nie może żadnego organizmu utrzymać przy życiu. Białko spotykamy i w pokarmach mięsnych i w roślinnych; jest ono tylko w każdym pokarmie w cokolwiek odmiennej postaci; pod wpływem jednakże działania soku żołądkowego staje się przydatnym do odżywienia organizmu. Zaraz zobaczymy w jaki sposób przemiana ta się odbywa. Czyste białko jest nadzwyczaj trudno strawne, gdyż nie drażni ścian żołądka i temsamem nie sprowadza wydzielania jego soku, dopiero po dodaniu pewnych przypraw, jak np. soli, cel ten osiągnięty zostaje. Otóż wszelkie ciała białkowe pod działaniem soku żołądkowego przechodzą w tak zwane peptony, które własnościami swymi bardzo mało różnią się od białka, a mimo to mogą być wchłonięte w krew, aby ją odżywić. Na tem jednakże nie kończy się sprawa trawienia. Części, które nie zostały przyswojone w żołądku, zstępują do kiszek, gdzie trawienie odbywa się w dalszym ciągu. Przybywszy do dwunastnicy, spotyka się pokarm z sokiem trzustkowym, który wydziela się z jednoimiennego gruczołu, zapomocą dwóch przewodów. Sok ten ma własność zamieniania tłuszczów w emulsję. Tłuszcze, które, jak wiadomo, nie mieszają się z wodą, ze śliną, ani z sokiem żołądkowym, pod wpływem wydzieliny trzustki zamieniają się w emulsję i w takim stanie mogą być wchłonięte w krew. Prócz tego ciała mączkowe, które nie zostały w zupełności zamienione w cukier i strawione w żołądku, w dwunastnicy, pod działaniem soku trzustkowego, trawią się z wielką łatwością. Sok ten na ciało mączkowe działa w sposób analogiczny, jak ślina.

Prócz tego wlewa się do dwunastnicy żółć, którą wytwarza wątroba. Zadaniem żółci jest również zamieniać tłuszcze w emulsję; wątroba prócz tego ma jeszcze inne zadanie; lecz jako nie należące do sprawy trawienia zostanie ono pominięte, gdyż i tak już nadużywamy cierpliwości czytelnika, a musimy przywrócić się jeszcze dalszym przemianom, jakim podlega pożywienie w kioskach cienkich. Skutkiem działania soków powyższych, pokarm zamieniony w tak zwaną miazgę pokarmową, przechodzi do kiszek cienkich, i pod działaniem soku, jaki się z ich, bardzo licznych, gruczołów wydziela, zostaje ostatecznie rozdrobnionym i zapomocą naczyń chłonnych do krwi wessanym. W kioskach grubych nie podlega już prawie żadnym przemianom, cząsteczki pewne jednakże mogą być przez nie wchłonięte.

Pokarm dla człowieka nie może być jednostajnym; organizm wymaga dowozu białka, mączki (cukru) i tłuszczów. Karmiony jedną z tych trzech materii w krótkim czasie wpadłby w chorobę, a nawet w śmierć.

Życie i praca organizmu wymagają rozlicznych pierwiastków dla odnowienia cząstek ciała zużytych. Pierwiastkami ze wszystkich najważniejszymi są: tlen, azot i węgiel. Pierwszy wprowadzonym zostaje do ustroju zwierzęcego z powietrza i za pośrednictwem oddychania przez płuca dostaje się wprost do krwi, gdzie sprawia tak zwane utlenienie; dwa drugie dostają się do organizmu zapomocą przewodu pokarmowego t. j. trawienia materii bogatych w azot i węgiel. Ztąd-to pokarm nasz rozdziela się na azotowy i bezazotowy. Dopokarmów rzędu azotowych zalicza się białko, i ono to głównie dostarcza azotu, do bezazotowych zaś tak nazwane wodany-węgla tu należą: chleb, wszelkiego rodzaju jarzyny, owoce i t. p. Pierwsza grupa nazywa się także pokarmem zwierzęcym (mięsnym), druga roślinnym.

Otóż człowiek pracujący utraci na dobę 18,3 gramów azotu i 328 gram. węgla i taką samą ilość, aby nie doznał ubytku, powinien z pokarmami przyjąć.

Pomimowoli nasuwa się na myśl, że gdyby taksamo jak tlen mamy w powietrzu, naprzykład, potrzebną ilość azotu i węgla można było otrzymać dla organizmu z wody, — gdyby woda zamiast składać się z tlenu i wodoru, składała się z tych dwóch pierwiastków: wtedy nie trzeba by w krwawym pocie czoła pracować na powszedni kawałek chleba, wychylałoby się z Wisły kilka półkwatek wody, albo parę kwart z pierwszej lepszej studni, jeziora lub rzeki — i człowiek byłby nasycony... spokojny.

Wracajmy do rzeczy.

Rozdział pokarmów na białkowe i wodany węgla nie jest zupełnie ścisły, po największej części bowiem pierwsze zawierają w sobie częściowo drugie i odwrotnie; np. chleb, prócz wodoru węgla w ilości 52,3 gr. zawiera białka 6,8 gr. Tu właśnie leży przyczyna, że można utrzymać się przy życiu bez pokarmów mięsnych, jak to widzimy u ludu wiejskiego. Klasa zaś bogatsza ludności miejskiej karmi się przeważnie substancjami białko zawierającymi. W jednym i w drugim wypadku popelnia się grzech przeciwko dyecie i tem samem naraża się zdrowie na szwank.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 5-ty powieści pod tyt.: **Konieczność**, przez M. E. Braddon.

TREŚĆ: Karolina z Iwanowskich księżna Wittgensteinowa, przez M. Ilnicką. — Pogrzeb s. p. J. I. Kraszewskiego, przez M. G. — Sonet, poezya. — Charaktery kobiet u Kraszewskiego, (dokończenie), przez Maryą Ilnicką. — Na ruinach (dalszy ciąg), powieść, przez Zygmunta Sarneckiego. — Korrespondencya zagraniczna, Poznań. — Hygiena i medycyna popularna, przez Dr J. Starkmana.

Dodatek obejmuje: Arkusz 5-ty powieści pod tytułem: **Konieczność**, przez E. Braddon. — 24 wzorów ubiorów i robót z opisem Sekretarza gospodarskiego. — Dyspozycją stołu.

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie-Przedmieście Nr 66.

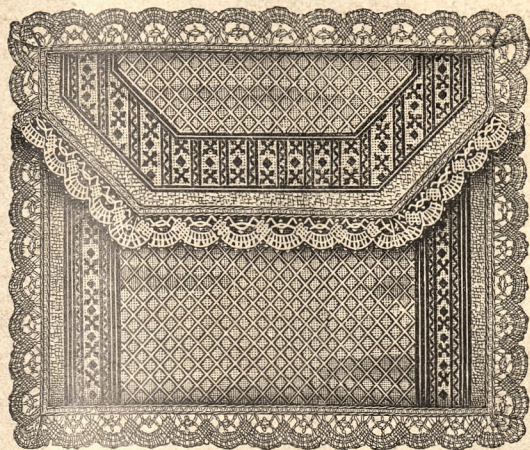
Дозволено Цензурою. — Варшава, 15 Апрелья 1887 года.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg

Torebka na nocną bieliznę.

Rycina Nr 1.

Na taką torebkę trzeba ukroić z żółtawej lnianej tkaniny w deseń część 39 cent. szeroką, a 31½ cent. wysoką, przyozdobić brzegi szlakiem haftowanym krzyżkami i ścięciem Holbeina, podług deseni przedstawionego na rycinie 22, zakończyć takowy dwoma rzędami ściągów ga-



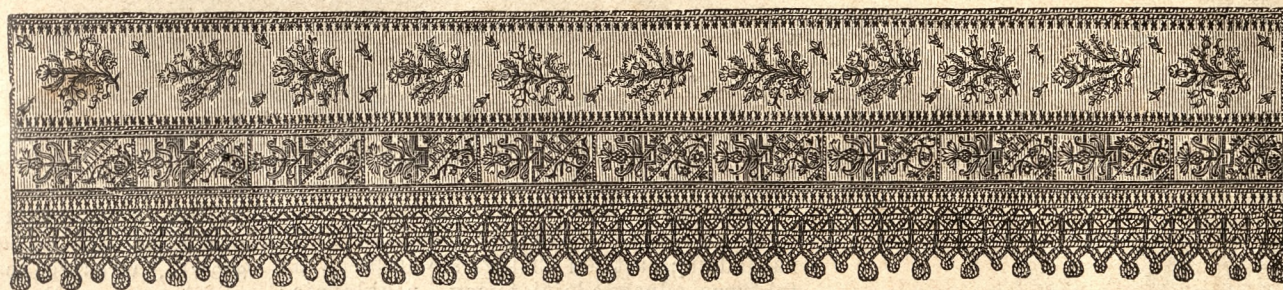
Nr 1. Torebka na nocną bieliznę. (Do ryc. 22).

łązkowych oliwkową bawełną, poseszywać brzegi podług ryciny, wreszcie obszyć koronką klockową lub szydełkową. Taką torebką bardzo jest praktyczna na nocną koszulę i czepeczek.

Pokrycie na oparcie sofy gałązkowym, pocztowym, rybiej łuszczy i siatkowym ścięciem.

Rycina Nr 2 do 4.

Pokrycie na sofę z kremowego koloru kretonu w deseń i siatkowego szlaku złożone. Pas kretonowy 19 cent. szeroki, należy za haftować podług ryciny 4, pasową, oliwkową, niebieską i brązową filozelą, tudzież krętą przedzą żółtą i pasową. Na szlak, którego część przedstawia rycina 2, należy wykonać hamburską włóczką ukośną siatkę, na waleczku 3 i pół cent. obwodu mającym, wiążąc u dołu ciągle naprzemian: po dwa supelki w jedno oczko, a po 4 w następne, przez co tworzą się dolne pętelki. Ten szlak siatkowy, szeroki na pięć kratek, należy wszyć w ramkę z grubego drutu, poczem za haftować go krętą przedzą i żółtą włóczką wiążąc pętelki podług ryciny, poczem obie części stanowiące pokrycie, należy połączyć ze sobą, podług ryciny Nr 3.

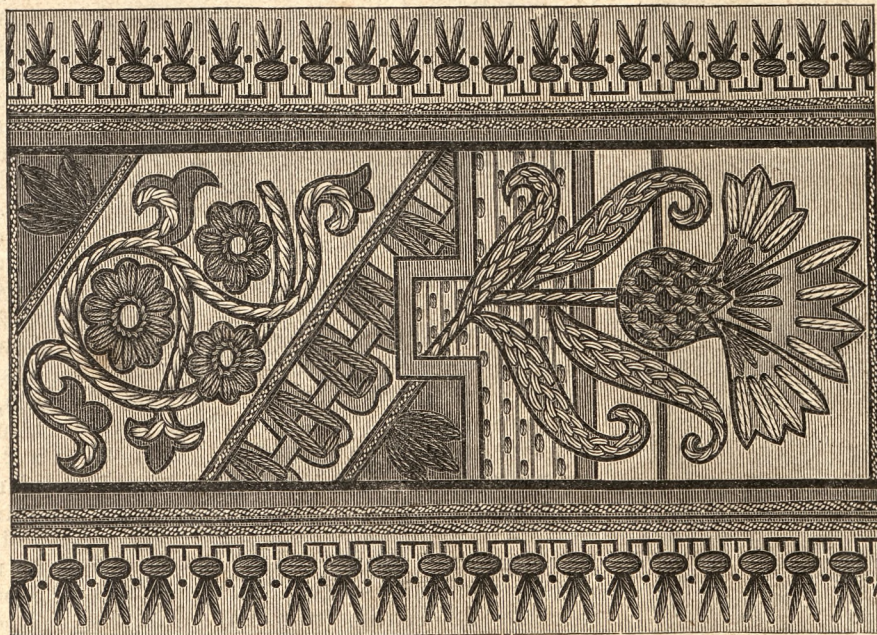


Nr 3. Przykrycie na sofę gałązkowym, pocztowym, rybiej łuszczy ścięciem, oraz siatkową robotą. (Do ryc. 2 i 4).

Kołnierzyk chusteczkowy z tiulu i koronki.

Rycina Nr 9. Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 65.

Ukroić podług fig. 65 z białego atlasu, podwójnie złożonego kołnierzyk, na podkładce ze sztywnego tiulu, pokryć go białym tiulem wyszywającym złotą nitką, wszywając u zewnętrznego brzegu pomiędzy podwójny ukos 1 cent. szeroką białą wstążeczkę, zakończoną z jednej strony pikotami. Następnie obrębić dwa kawałki żółtawego jedwabnego koronkowego materiału, 49 cent. szerokie, a 75 cent. długie, obrębek na 3 c. szeroki, przez który przewlec w dole żółtą repsową wstążeczkę i zmarszczyć obie czę-



Nr 4. Część haftu do przykrycia ryc. 3. Wielkość naturalna.

ści na 21 centim. od brzegu. W górze uplisować tiul na 10 cent. szeroki, składając fałdy ku przodowi, tak ułożone, ściąć na 7 centimetr. szeroko, wzdłuż od góry szerokiego plisowania, a następnie podszyć w dole kołnierzyka, na szerokość 23 centim. od brzegu. Kołnierzyk zapina się na haftki.

Kamizelka z jedwabiu i perłowego galonu

Rycina Nr 10

Ukroiwszy z szarej materyi część 55 centim. długą, a 36 cent. szeroką, należy na główkę założyć 3 cent., zmarszczyć górny brzeg na nitkę 10 cent. szeroką. W pasie na 34 cent. od górnego brzegu należy także materiał zmarszczyć na 5 centim., poczem kamizelkę przybrać podług wskazania ryciny galonem dżetowym na atlasowej podszewce.

Ubranie dla chłopczyka od 6 do 8 lat.

Rycina Nr 12. Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 15-23.

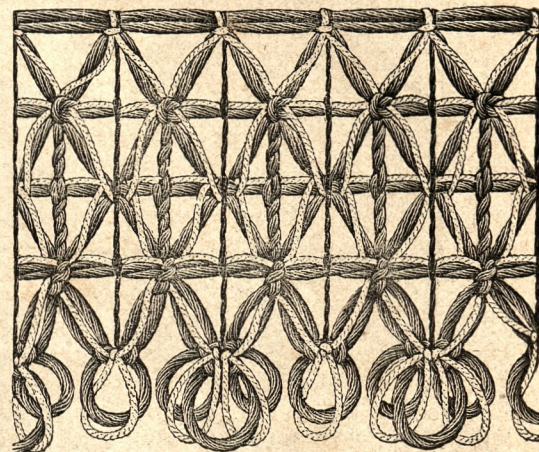
Na to ubranie z popielatego korciku, należy ukroić podług fig. 15 do 17 po dwie części, podszyć takowe kroazą, zeszyć każdą przednią połowę, z każdą tylnią połową od liczby 29 do 30, od liczby 31 do 32 i od liczby 33 do 34, obie przednie połowy od liczby 34 do 35, a obie tylne od liczby 34 do 36. Dolny brzeg majteczek należy wszyć w opaskę 2 cent. szeroką, 32 cent. długą, przyczem należy na kolana trochę materiału naddać; rozporki dolne należy zaopatrzyć w guziki i dziurki, w górne wszyć kieszonki, zaś z przedniego brzegu lewą połowę należy podszyć listewką z dziurkami, do prawej zaś od liczby 35 do górnego brzegu przyszyć klapkę z guzikami. Po zeszytciu górnych fałdek, należy podszyć majteczki na 4 i pół centim. ciemną podszewką i po-

przodu; połączywszy części podług znaków, należy brzegi podszyć listewką 6 cent. szeroką, przyszyć guziki, wszyć kołnierzyk od liczby 41 do 45, rękawy poseszywane od liczby 46 do 47 i od liczby 48 do 49, wszyć w pachy, trafiając liczbą 49 rękawa, na takąż liczbę przodów.

Kapelusz z tiulu, koronki i perel.

Rycina Nr 13.

Petynetową podstawkę tej kapotki, należy ob-



Nr 2. Brzeg siatkową robotą do ryc. 3. Zmniejszony.

ciągnąć czarnym trykotowym materiałem w słomiany rzucik; rondko zrobione jest oddzielnie, z dżetu nawlekanego na druk; upięcie z czarnej koronki „chantilly“, 12 cent. szerokiej i wysoka egretka z żółtych cieniowanych piór, zdobią przód kapelusza; szarty koronkowe 19 cent. szerokie, uzupełniają takowy.

Kapelusz słomkowy.

Rycina Nr 14.

Kapelusz z czarnej cieniutkiej angielskiej słomy z odstającym nad czołem rondkiem, podszytym gładko aksamitem koloru mchu leśnego; mała kokardka z tegoż aksamitu, przymocowana jest wewnątrz do rondka. Wierzch kapelusza przybrany jest aksamitną wstążką mchowego koloru, 6 centimetrów szeroką, która zarazem stanowi szarfę do wiązania kapelusza pod brodą; galon dżetowy i sterzący bukiet z różowych róż, uzupełnia przesliczną całość.

Kapelusz słomkowy.

Rycina Nr 15.

Okrągły kapelusz z czarnej angielskiej słomki, z główką nieco spiczastą, z rondkiem z jednej strony wyżej, z drugiej niżej zagiętym, podszytym galonikiem ze słomy. Wysoka kokarda z repsowej jedwabnej wstążki z pikotowym brzeżkiem i pęk piór strusich, uzupełnia ten skromny, lecz gustowny kapelusz.

Miseczki na marki (pieniążki) do gier towarzyskich.

Rycina Nr 18. Wzór pierw. str. tabl. Nr V, fig. 34 do 36.

Metalowe miseczki w formie znaków karcianych, obciągnięte pluszem, na którym podług wzoru haftowane są arabeski na skórze. Dla wykonania takowych należy deseń przenieść na skórę, powyż-



Nr 11. Sukienka dla panienki od 11 do 13 lat. Plecy. (Do ryc. 13 w Blu. Nr 16)



Nr 16. Suknia z gładkiego i w kratę krempowego materiału. Przd. (Do r. 8 w B. Nr 16). Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 31—33.

wać grubą szpilką dziurki, a wykonawszy haft różnokolorowym jedwabiem i złotą nitką umocować go na pluszu.

Serwetka na stół.

Rycina Nr 21.

Serwetka na rzeźbiony grecki stół z gruszkowego drzewa, wykonana zupełnie w ten sam sposób, jak pokrycie na sofę ryc. 3, tylko podwójnej szerokości, przyozdobiona szlaczkiem ryciny Nr 2.

Teka wisząca na gazety.

Rycina Nr 23. Wzór odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 66.

Oprawa teki wykonana jest z trzciny bambusowej i grubego słomianego sznura ułożonego w skręty. Front teki

przyozdobiony jest pluszem pawiego koloru, na którym wykonany jest haft robotą nakładaną; haft ten obciąga się najpierw na tekturze odpowiedniej formy, podkładając cienką warstwę waty, potem przymocowywa się do teki. Szydełkowe bombelki z grubej oliwkowego koloru bawełny wykonane, uzupełniają tęczkę podług ryciny. Dla wykonania haftu, należy kontury deseni figury 66 przenieść na jedwabny reps oliwkowego koloru, podkleić takowy perkalęm, powycinać, na pluszu umocować, potem resztę haftu wykonać niebieską i oliwkowego koloru filozelą w dwóch cieniach, skręcanym, łańcuszkowym i pocztowym ścięciem. Same kontury obwodzi się złotym sznureczkiem, żyłki zaś kwiatowe odznaczają się cienką, oliwkowego koloru sznelką.

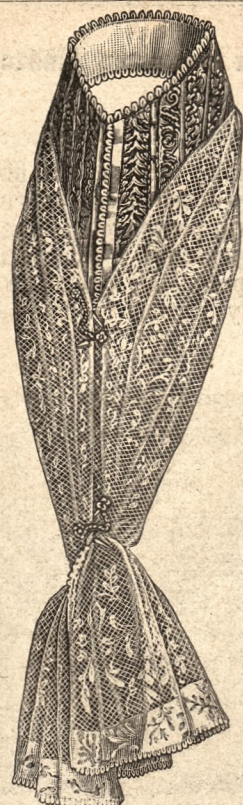
Sukienka dla dziewczynki od 2 do 4 lat szydełkową robotą.

Rycina Nr 11 i 12 w Blu. Nr 18. Krój odwr. str. tabl. Nr IX, fig. 62—64.

Sukienka wykonana szydełkową robotą, z bawełny koloru surowego jedwabiu, na pasowej satynowej spódnice. Szarfia z pasowej satyny, dwa metry długa, stanowi uzupełnienie tej sukieneczki. Przy wykroju staniczka i przy rękawkach, przeprowadzone są wązkie wstążeczki tegoż koloru. Po dopełnieniu złożonej figury 62, należy z pasowej satyny ukroić jedną część złożoną względem środka, przypuszczając wszakże 22 centymetrów na spódniczkę. Brzegi sukienki należy połączyć, zostawiając rozporek 25 centymetrów długi, a zmarszczywszy takową w pasie na 60 centime-



Nr 516. Grzebień sztykretowy i szpilka do włosów.



Nr 9. Chusteczka z koronkowego materiału. Krój odwr. str. tabl. Nr X, fig. 65.



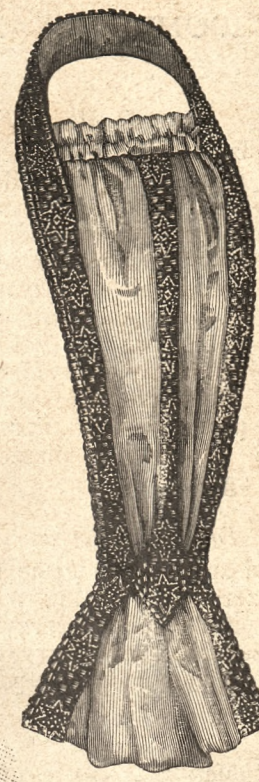
Nr 14. Kapelusz słomkowy.



Nr 13. Kapelusz z tiulu, koronki i pereł.

trów, zamocować fałdy wąską listewczką. Górny brzeg sukienki należy zmarszczyć z przodu na 25 centymetrów, z tyłu po każdej stronie rozporka, na 11 i pół centymetrów, wszyć w oszewki, wreszcie połączyć z ramiączkami ukrojonymi podług figury 63. Figura 64 przedstawia połowę formy stanika szydełkową robotą. Taką sukienką z lamowej lub innej koronki, stanowi śliczne ubranie dla młodego dziecka.

Formę staniczki przedstawia figura 64, złożona we dwoje. Dla wykonania sukienki robotą szydełkową, należy przerobić deseny ryciny 11 w Bluszcza Nr 18, złożony z pojedynczych gwiazdek połączonych ze sobą, pomiędzy każdymi czterema gwiazdkami znajdują się pajęczki spajające. Na każdą gwiazdkę należy 8 oczek założenia zamknąć w kółeczko 1 ściśle oczkiem, potem kolej 1: 5 powietrznych oczek, 7 słup, po każdym słupku 2 pow. oczka, 2 pow. ocz. 1 ściśle oczko w 3 z pierwszych pięciu pow. oczek tej kolei. Kolej 2 ciągle naprzemian: 1 ści. ocz. w każde ocz. poprzedniej kolei. Kolej 3: 10 pow. o., 7 razy naprzemian: 1 słu. w 3 ocz. 7 pow. o.; 1 śc. o. w 3 z poprzednich 10 pow. o. Kolej 4: 8 razy po 8 ści. oczek, z których 2 i 3, 4 i 5, 6 i 7 poprzedzielane są jednym pikotem, z 4 pow. oczek złożonym, w końcu 1 ściśle oczko łańcuszkowe, w pierwsze oczko tej kolei. Każda następna gwiazdka robi się w ten sam sposób, przyczem środkową żyłkę dwóch ostatnich pikotów poprzedzającego łuku, spoić z 2 i 1 pikotem czwartego łuku, zaś dwa pierwsze pikoty ostatniego łuku, z 3 i 2 pikotem trzeciego łuku poprzedniej gwiazdki. Połączywszy gwiazdki podług wzoru, należy na każdy pajęczek zamknąć w kółeczko 7 pow. ocz., potem 8 ści. ocz. po każdym 7 pow. ocz., przyczem każde środkowe z 7 pow. ocz., z jednym z pikotów połączonych ze sobą gwiazdek, w końcu 1 ściśle łańcuszkowe oczko, w pierwsze oczko pajęczka;



Nr 7 i 8. Szpilki sztykretowe do włosów.



Nr 15. Kapelusz słomkowy.

nitkę zamocować i obciąć. Wykonawszy potrzebną ilość gwiazdek i pajęczków podług formy staniczki, należy robotę u góry i przy rękawkach, zakończyć trzema kolejami wykonanymi w kierunku długości. Kolej 1: * 3 słupki w trzy pikoty gwiazdki, 2 pow. ocz., 3 słupki w 3 pikoty następującej gwiazdki, 8 pow. ocz., od * powtórzyć. Kolej 2 ciągle naprzemian: 2 potrójne słupki w najbliższe dwa oczka poprzedniej kolei, 6 pow. ocz., 6 ocz. opuścić. Kolej 3 ciągle naprzemian: 3 ściśle ocz. w kolejne 3 ocz., 4 powietr. ocz., potem na spódniczkę należy wykonać 7 rzędów gwiazdek, każdy z 35 gwiazdek złożony i złączony brzegami w kółko, potem każdy rząd należy u góry zakończyć dwoma kolejami wzdłuż roboty wykonanymi, ostatnie obrobienie stanowi zarazem połączenie stanu ze spódniczką. Kolej 1 ciągle naprzemian: 6 słupków w kolejne 6 pikotów gwiazdki, 4 pow. ocz. (zamiast ostatnich 4 pow. ocz. należy wykonać 1 ści. ocz. łańc. w pierwszy słup. tej kolei. Kolej 2: 4 pow. ocz. w pierwszy pikot u dołu stanika znajdującego się, potem ciągle naprzemian: 2 pow. ocz., 1 podwójny słupek w 3 z rzędu ocz. poprzedniej kolei, przyczem należy ciągle naprzemian, w odstępie dwóch oczek, każde z 5 pikotów stanu spbić z 3 pikotem, w końcu 1 ściśle łańcuszkowe oczko w 4 oczko z pierwszych 4 pow. ocz. tej kolei. Na koroneczkę, którą należy następnie przyszyć u dołu sukienki, należy wykonać łańcuszek potrzebnej długości, potem kolej 1 ciągle naprzemian: 2 potrójne słupki w kolejne dwa oczka, 8 pow. ocz., 8 ocz. opuścić. Kolej 2 ciągle naprzemian: 1 ściśle oczko w następne oczko, 7 pow. ocz., 3 ocz. opuścić. Kolej 3: * 9 ścił. ocz., w 7 pow. ocz., 5 ści. ocz. w pierwszej połowie następujących 7 pow. oczek, 10 pow. ocz., połączyć z górnymi żyłkami środkowego oczka, z 9 ści. ocz., 13 ści. ocz. w poprzednie 10 pow. ocz., 4 ści. ocz. w drugą połowę siedmiu powietr. oczek

robotę odwrócić i na poprzednich z powrotem, 1 pow. ocz., 9 ści. ocz. w żyłki na palcu leżące poprzednich 9 ści. ocz., od * 4 razy powtórzyć, potem od * powtórzyć 5 razy, opuszczając zawsze po 3 oczka kółka; w końcu 1 ściśle oczko w pierwsze pow. ocz. pierwszego kwadracika i nitkę odciąć. Kolej 3 jak poprzednia kolej podług ryciny, spajając kwadraciki pod spodem. Kolej 4: * 2 ści. ocz. w narożnik najbliższy kwadracika, 7 pow. ocz., 2 ści. ocz. w narożnik następnego kwadracika 3 kolei, 7 pow. ocz. od * powtórzyć 5 razy, potem 1 ści. łańc. ocz. w pierwsze ocz. tej kolei. Kolej 5 ciągle: po 1 ocz. w każde oczko poprzedniej kolei, w końcu 1 ści. łańc. ocz. w pierwsze oczko tej kolei. Kolej 6: 5 pow. oczek, potem ciągle naprzemian: 1 słupek w drugie z rzędu oczko, 2 pow. ocz., w końcu 1 ści. łańc. ocz. w 3 z pierwszych pięciu pow. oczek tej kolei. Kolej 7: 5 pow. ocz., 1 słup. w następne pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 5 pow. ocz., 2 słupki po każdym 2 pow. ocz., w szóste z rzędu oczko, w końcu 5 pow. ocz. 1 ści. łańc. ocz. w 3 z pierwszych 5 pow. o. tej kolei. Kolej 8: 6 ści. łańc. ocz. w kolejne 5 pow. ocz., 1 słupek w to samo ocz. co ostatnie śc. łańc. ocz., potem ciągle naprzemian: 5 pow. ocz., 2 słup. po każdym 2 pow. ocz. w 3 z najbliższych 5 pow. ocz., w końcu 1 ści. łańc. ocz. w 3 z pierwszych 5 pow. o. tej kolei. Kolej 9 jak poprzednia kolej. Kolej 10: 4 pow. ocz., potem ciągle naprzemian: 1 słup. w drugie z rzędu ocz., 1 ocz. pow., w końcu 1 ści. łańc. ocz. w 3 z pierwszych 4 pow. ocz. tej kolei. Kolej 11 ciągle naprzemian: 1 ści. ocz. w każde ocz. poprzedniej kolei. Kolej 12: 5 pow. ocz. zamiast jednego potrójnego słupka, * 1 kwadracik taki jak opisany przy kolei drugiej, z tą różnicą, że ści. ocz. rogowe przerabia się z 5 z rzędu ocz. poprzedniej kolei, po-

w których poprzednio już przerobiono 5 pow. ocz.; od * powtórzyć.

Podstawa pod flakoniki, wazoni i t. p. szydełkową robotą.

Rycina Nr 1 w Bl. Nr 18

Podstawa z krętej bawełny kremowego koloru, przewleczonego niebieską aksamitową wstążeczką, której końce związane są w karkadkę. Robotę należy rozpocząć od środka, na założeniu z 15 oczek zamkniętych 1 ści. łań. ocz. w kółeczko, 1 ści. ocz. łań. w pierwsze z nich, potem nitkę zakończyć i obciąć. Kolej 2: * Na jeden kwadracik 9 pow. ocz., 1 ści. o. w obie żyłki ści. ocz. kółeczka, na poprzednich 9 ści. ocz., †

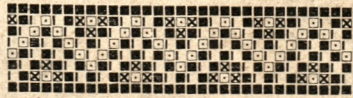


Nr 12. Ubranie dla chłopczyka od 6 do 8 lat. Krój pierw. str. tabl. Nr II, fig. 15—23

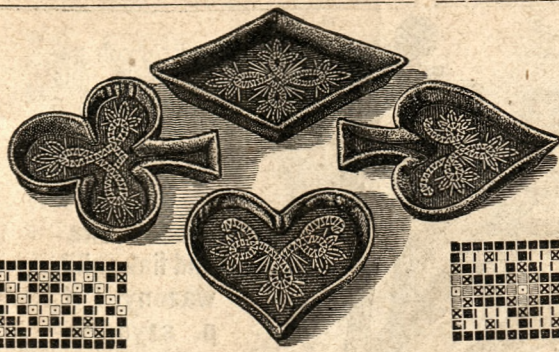


Nr 17. Ranne ubranie z indyjskiego kaszmiru. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII, fig. 49—56

czem 1 potrójny słup. również w 5 rzędu oczko; od * powtórzyć, zamiast ostatniego potrójnego słupka, 1 ściśle łań. ocz. w 5 oczko z pierwszych 5 pow. ocz. tej kolei. Kolej 13: 2 ściśle oczka łańc. w brzeźne ocz. kwadracika, 3 pow. ocz., * 1 pikot (czyli 5 pow. ocz. i 1 ściśle ocz. w pierwszej z tychże) 1 słup. w następny rowek kwadracika, 1 pikot, 2 słupki w narożne oczko tegoż kwadratu, dwa razy naprzemian: 1 pikot, 1 słupek w 3 z rzędu ściśle oczko kwadracika z drugiego boku, 1 słupek w pierwszy rowek następnego kwadracika, od * powtórzyć; w końcu zamiast ostatniego słupka, 1 ści. oczko w 3 z pierwszych 3 powietrznych oczek tejże kolei.



■ pier. (najciem.), * drugi, □ trzeci, (najj.) Nr 18. Miseczki na marki ■ pier. (najciem.), * drugi, □ trzeci (najj.) niebieski, ' tło Nr 19 Szlaczek do przedmiotów dzieciennych krzyżowym ściegiem. do gry wkarty. Deseń pier. niebieski, □ pasowy, ' tło. Nr 20. Szlak str. tabl. Nr V, fig. 34-36. do przedmiotów dzieciennych krzyżową robotą.



KOESPONDENCYA.

P. Maryi T...

Tylko w zakładzie pani hrabiny Platerowej, uczą szewstwa. Zechce się pani listownie tam udać po żądane wiadomości, gdyż tylko w taki sposób będzie pani detalicznie o wszystkim powiadomiona. Adres zakładu: Warszawa — zakład ręko-dzielniczy dla kobiet, hrabiny Platerowej, ulica Piękna. Za przyjazdem do Warszawy mogą pani wskazać stosowne pomieszczenie — proszę się do mnie zgłosić.

Pani W. w Kujaw.

Czarne kaszmirowe i ciemne zawsze są w użyciu, przerobić je podług wzorów podawanych w piśmie naszym, przybrać welwetem, pluszem lub dżetami wyszyć — kamizelkę dać odmiennego koloru, podług wzorów w Bluszczu.

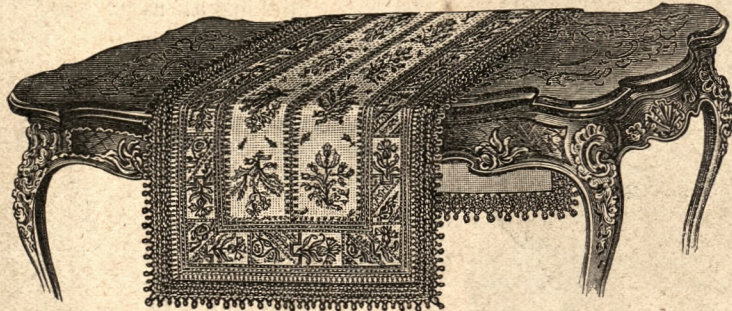
Bezimiennie Prenumeratorce.

Niedziwie się, iż pani piernik spaliłaś, z otrzymanego bowiem listu widzę jasno, iż nie było komu dać właściwej dyspozycji — powtarzam zawsze, że tylko osoba inteligentna, może dobrze zarządzać gospodarstwem.

Przepisy gospodarskie.

Masło rakowe w formie suszonych skorupek.

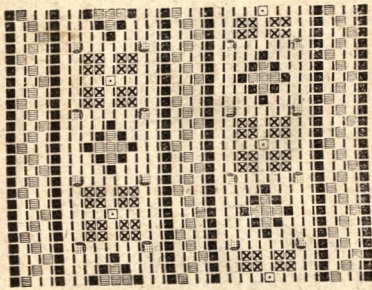
Rozmaicie urządzą masło rakowe na zimowe przechowanie — trudność dobroci jego leży w tem, że choćby najlepsze masło użyć, po pewnym przeciągu czasu samo masło gorzknieje — dla tego do wszelkich pasztetów zagranicznych i naszych, zupełnie na ten sam sposób urządzanych, podług „Jedynych praktycznych przepisów“, wydanie 11, używa się tylko smalcu i słoniny — gdyż tłuszcz wieprzowy nie starzeje się prędko i nie gorzknieje jak



Nr 21. Serwetka (do ryc. 2 do 4).

jakby ze świeżemi, skorupki zaś z łapek i szyjek gdyby jakie zostały, suszyć dobrze — następnie tłuc, znowu przesuszyć i tak w proszku, w szklanym słoju przechować. Naturalnie, że sposobu tego używa się tam, gdzie jest obfitość raków.

L. C.

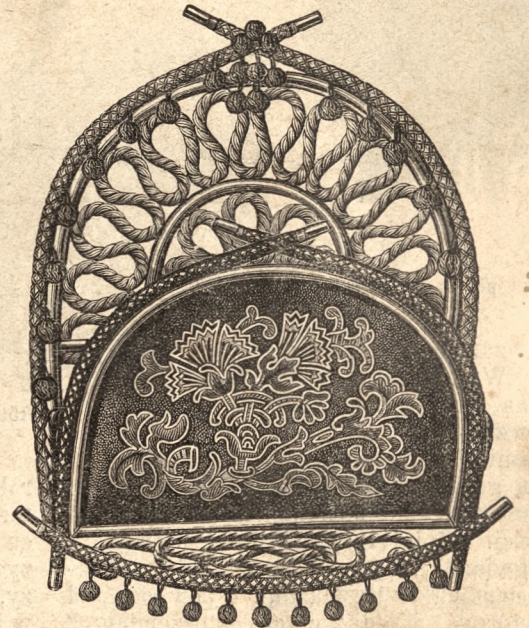


Objaśnienie znaków: ■ ciemno-oliwkowy, □ jasno-oliwkowy, * ciemno-pasowy, □ jasno-pasowy, ' tło.
Nr 22. Deseń na torebkę ryc. 1.

masło; tembardziej jeszcze szmalec gęsi. Otóż dla uniknienia, aby masło nie gorzkło, doświadczyłam nowego bardzo dobrego sposobu, aby mieć w zimie świeże masło rakowe. Po ugotowaniu raków i obraniu ich, używając na potrawę z so-

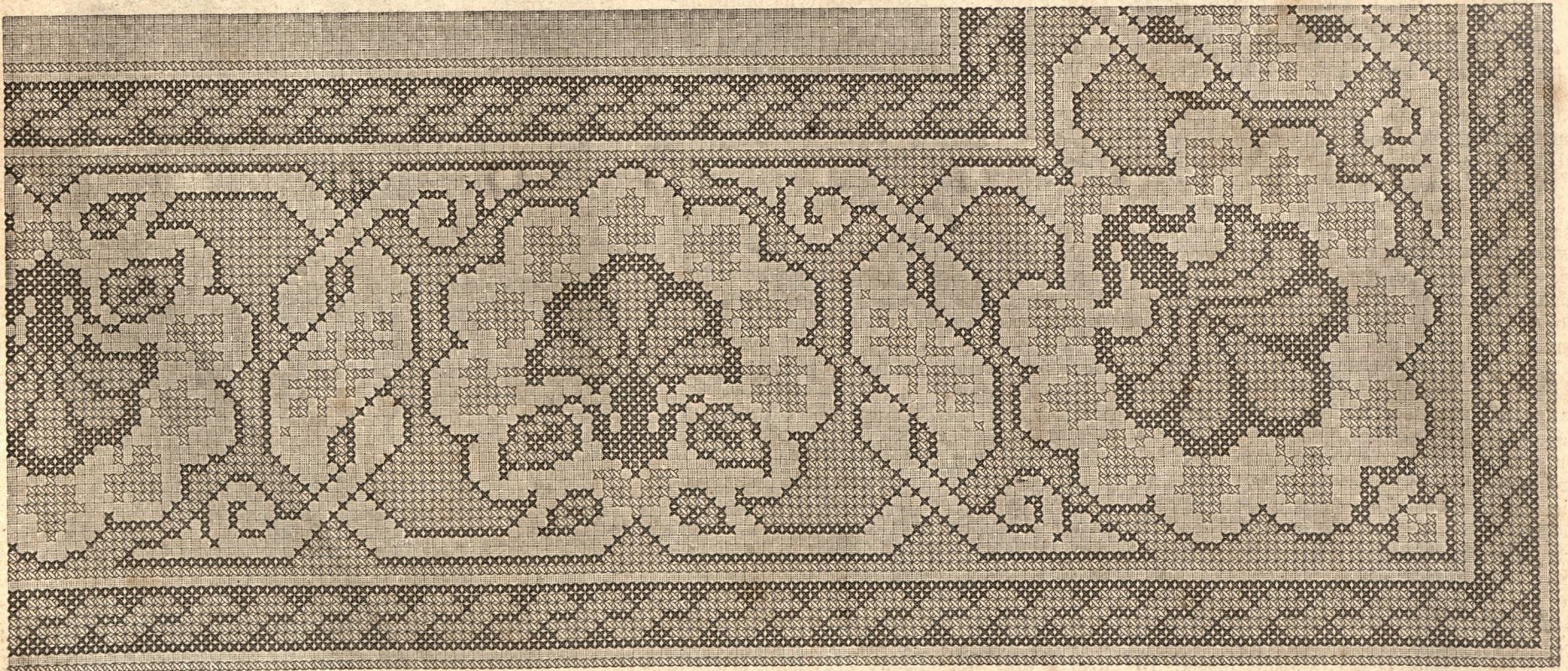
Obiad na Niedzielę.

1. Zupa rakowa.
2. Paszteciki w naleśnikach.
3. Ozór solony z chrzanem.
4. Cielęcina z sałatą.
5. Legumina z sera (węgierska).



Nr 23. Tecka na gazety robotą nakładaną i szydełkiem. Deseń odwr. str. tabl. Nr XI, fig. 66.

Tablica krojów dołączoną była do N-ru 16 Bluszczu.



Nr 24. Szlak do serwet, firanek i t. p. krzyżowym ściegiem.